

Wprowadzenie

Bohatera Piątka to fascynująca relacja o życiu i bohaterskiej śmierci pod gilotyną w Dreźnie w 1942 roku pięciu młodzieńców, wychowanków Oratorium Salezjańskiego w Poznaniu, przy ul. Wronieckiej 5.

Autor jej, ksiądz Profesor Leon Musielak, salezjanin, wychowawca młodzieży oratoryjnej w Poznaniu, przekazuje czytelnikom sylwetki bohaterów: Edwarda Klinika, Edwarda Kaźmierskiego, Czesława Józwiaka, Franciszka Kęsego i Jarogniewa Wojciechowskiego - wszyscy w granicach wieku: 20 - 23 lat życia. Oni to w okresie cudownej swojej młodości, pełni wzniosłych ideałów, otwarci na wartości Boże i ludzkie, oddychali radosną duchowością salezjańską, kształtując swój charakter w atmosferze systemu uprzedzającego św. Jana Bosko.

W Oratorium Salezjańskim w Poznaniu znaleźli warunki do przygotowywania się do przyszłej roli w Kościele i Ojczyźnie. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że zadanie, jakie mieli wykonać, będzie wymagało od każdego z nich największego poświęcenia i odwagi.

Oratorium Księdza Bosko w Poznaniu od pierwszych chwil przybycia salezjanów gromadziło młodzież męską, która w nim znajdowała swój drugi dom rodzinny, parafię przygarniającą wszystkich, szkołę przygotowującą do życia oraz podwórko, gdzie rodzą się układy przyjaźni w atmosferze autentycznej radości szczerej przyjaźni. W takim to środowisku kształtowali swoje charaktery ci młodzi ludzie, którzy w niedalekiej przyszłości mieli być poddani największej próbie życia, jaką była ich męczeńska śmierć pod gilotyną.

Bardzo boleśnie przeżyli zamknięcie Oratorium przez niemieckie władze okupacyjne w początkach listopada 1939 r. Aresztowani następnie pod zarzutem przygotowywania zamachu stanu, przeszli przez swoją drogę krzyżową, której stacjami były: Fort VII i więzienie przy ul. Młyńskiej w Poznaniu; następnie osławione Wronki, Neukölln, Zwickau i ostatnia, najbardziej bolesna: Drezno, gdzie wydano na nich wyrok śmierci przez ścięcie gilotyną. Wyrok został wykonany w dniu wspomnienia Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki Wiernych, 24 sierpnia 1942 roku.

Wzruszające Listy spod gilotyny obrazują heroiczną wiarę w Boga, całkowite zdanie się na Jego wolę, wewnętrzną, nierozzerwalną więź w Jezusie Chrystusie poprzez sakramenty pokuty i Eucharystii, synowskie oddanie i miłość do Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych, której byli gorącymi czcicielami oraz niezwykłą serdecznością względem swoich rodziców i rodzeństwa.

Pięciu wspaniałych, promieniujących blaskiem Prawdy Bożej młodzieńców, przeżywających piękno wiosny swojego życia, tak bardzo kochających otaczający ich świat i ludzi, bez buntu i nienawiści, lecz z miłością i z wewnętrzną pokorą złożyło swoje życie w ofierze Bogu i Ojczyźnie. Nie przypuszczali, że po blisko pięćdziesięciu latach od ich tragicznej i brutalnej śmierci, zostaną wpisani na listę kandydatów na ołtarze.

Książka ks. Prof. Leona Musielaka Bohatera Piątka stanowi nie tylko dokument historyczny, oparty na osobistych zeznaniach jej bohaterów, ale jest równocześnie wymownym świadectwem skuteczności systemu wychowawczego, przekazanego przez ks. Bosko, opartego na wartościach płynących z wiary w Boga, podmiotowości człowieka obdarzonego przez Stwórcę rozumem i wolną wolą oraz na szczególnym umiłowaniu

młodzieży, która stawia przed każdym wychowawcą swoiste wyzwanie: „rób wszystko byś był kochany!” System ten, zakorzeniony w Ewangelii, stał się szkołą świętości dla wielu, a jej twórca, św. Jan Bosko, może być słusznie uważany za mistrza życia duchowego dla ludzi młodych. Z takiej właśnie szkoły wyszła bohaterska Piątka Poznańska.

Moim gorącym życzeniem jest, aby ta cenna pozycja trafiła do rąk jak najszerszej rzeszy młodzieży, która w poszukiwaniu ideałów znajdzie w niej żywe świadectwo głębokiej wiary w Boga i nierozdzielnie z nią związanej miłości ku Ojczyźnie.

Księdzu Prof. Leonowi Musielakowi, wiernemu Synowi księdza Bosko, zakochanemu w Piątce Poznańskiej, z całego serca życzę uczestnictwa w uroczystościach wyniesienia jej na ołtarze, spraszam pełnię błogosławieństwa Bożego oraz nieustanną opiekę Najświętszej Wspomożycielki Wiernych w nie-strudzonej pracy dla dobra Kościoła i Zgromadzenia.

+ Adam Śmigielski SDB Biskup Sosnowiecki

Sosnowiec, 24 maja, w uroczystość Wspomożycielki Wiernych, 1994 r.

Z całą radością i wdzięcznością Bogu i ludziom, którzy nie pozwolili, aby świadectwo wiary pięciu młodych ludzi pozostało w mrokach historii, dopisuję tę jedną stronicę do książki Bohaterska Piątka ks. Leona Musielaka. Sam Autor nie doczekał się ukoronowania swojej pracy prowadzącej do beatyfikacji pięciu Wychowanków Salezjańskich, gdyż Pan powołał Go do siebie w Wigilię Bożego Narodzenia 1998 roku.

Beatyfikacja 108 Męczenników Kościoła w Polsce z okresu II wojny jest szczególnym akcentem w przygotowaniu do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Ukazuje wielki dar Bożej Opatrzności dla Kościoła na nasze dni, gdyż Męczennicy wpisują się jako bardzo mocny punkt odniesienia na drogach Ludu Bożego: wzór drogi do Ojca, znak zwycięstwa Chrystusa w Jego uczniach, przykład wytrwałości w zmaganiu się o dobro, umocnienie wstawiennictwem przed Bogiem.

W przededniu Roku 2000, w czasie podróży apostolskiej do Polski, 13 czerwca w Warszawie Jan Paweł II beatyfikuje 108 Męczenników, wśród których jest „Bohaterska Piątka” wychowanków salezjańskich. Przez ten akt Kościół uznaje uroczyście za słuszne ich postawy, ich przekonanie, że miłość Boga każe bezwarunkowo zmagać się o prawdę o Bogu i o człowieku, również w najtrudniejszych okolicznościach i nie pozwala sprzeniewierzyć się wartościom nawet dla ratowania życia.

Beatyfikacja tych młodych chłopców wpisuje nowy rozdział w młodzieżową duchowość salezjańską - męczeństwo. Wychowani w duchu systemu uprzedzającego św. Jana Bosko, poddani wielkiej próbie, do końca ufali Bogu i Maryi Wspomożycielce.

Składam wyrazy wielkiej wdzięczności tym, którzy przez kilka lat prowadzili proces beatyfikacyjny i ukazali współczesnej młodzieży wzór heroicznej, a zarazem radosnej świętości. W sposób szczególny dziękuję Postulatorowi ks. dr. Tomaszowi Kaczmarkowi i Wicepostulatorowi w sprawie „Piątki” ks. mgr. Władysławowi Nowakowi, a dla śp. ks. Leona Musielaka, autora książki, prośmy Boga o radość wieczną przeżywaną razem ze swoimi Wychowankami w niebie.

ks. Franciszek Krasoń SDB

Inspektor

Wrocław, 30.03.1999 r.

OD AUTORA

Minęło już ponad pół wieku od dnia, w którym aresztowani zostali w Poznaniu młodzi wychowankowie salezjańskiego Oratorium ks. Bosko. Wszystkim, kogo tylko spotkali podczas więziennej gehenny, opowiadali o Oratorium, swoim przykładem zachęcali do modlitwy.

Zawsze mieli świadomość obecności Boga i Jego wszech-mocy. Nie wątpili nigdy, nawet w najtrudniejszych warunkach apostołowali...

W pamięci mojej, a byłem jednym z wychowawców, zostali jako chłopcy, w sposób szczególnie niczym nie wyróżniający się spośród innych. Czyż mogłem przypuszczać, że Franek Kęsy w Jasełkach wystawianych w sali Zoologu poznańskiego podczas tańca mazura mocno oklaskiwany, napisze do rodziców w dniu śmierci:

Nie żałuję, że w tak młodym wieku schodzę z tego świata, bo teraz jestem w stanie laski, a nie wiem, czy później byłbym wierny swoim przyrzeczeniom...

Czy można było przewidzieć, że przewspaniały w pełnej humoru roli zarządcy ogrodów Edward Kaźmierski będzie kiedyś - też w ostatnim liście - z całym przekonaniem dziękował za to, że z tego świata nie odchodzi nie przygotowany, ale po pokucie... w dzień salezjańskiego wspomnienia miesięcznego Maryi Wspomożycielki Wiernych. I że salezjańskich wychowanków nie załamię śledztwo, pobyt w różnych celach, terror i głód, że będą, jak stwierdza Henio Gabryel, *w ogóle jacyś inni...* z pogodnymi twarzami, nie skarżący się, a przez współtowarzyszy niedoli niekiedy pytani, czy im przypadkiem nie jest dobrze w więzieniu...

A przecież, podobne jak tyłu innych, pod hasłem „Bóg i Ojczyzna” przeszli przez piekło, począwszy od dnia aresztowania aż po dzień 24 sierpnia 1942 roku, gdy odebrało im życie ostrze gilotyny w niemieckim więzieniu w Dreźnie.

Doszedłem do wniosku, że tacy jak oni wspaniali chłopcy nie powinni pójść w zapomnienie. Zacząłem szukać ludzi, którzy ich znali, zbierać materiały, między innymi ich grypsy i listy, wysyłane do rodzin. Z tych materiałów, a także z moich wspomnień urodziła się książka *Wierni do końca* Mariana Orłonia, w literackiej formie przedstawiająca Poznańską Piątkę. Wydana w 1984 roku w nakładzie trzydziestu tysięcy, szybko nieobecna w księgarniach...

Zachęcony zainteresowaniem czytelników zdecydowałem się opracować pięć grubych szkolnych zeszytów, zapisanych kryptonimem, ręką Edwarda Kaźmierskiego, jednego z „Piątki”.

Celem tej książki - jak napisałem we wstępie - było ukazanie najdrobniejszych nawet zdarzeń z życia, ich planów, rozrywek i młodzieńczych figli. Bo pokazywały te zeszyty, że nikt nie rodzi się bohaterem, że do bohaterstwa się dorasta...

Dzienniczek Edy Kaźmierskiego ukazał się w 1990 roku.

Nie przypuszczałem wówczas, że nadejdzie wkrótce dzień, w którym Kościół obok przeszło dziewięćdziesięciu innych osób uzna „Piątkę” jako kandydatów na „towarzyszy” męczeńskiej śmierci Biskupa Michała Kozala, beatyfikowanego przez Ojca Świętego Jana Pawła II w Warszawie w 1987 roku.

Po beatyfikacji bpa Kozala zaczęto zastanawiać się nad rozpoczęciem postępowania kanonizacyjnego dotyczącego nie tylko jego, ale również innych osób, które podobnie jak on złożyły świadectwo wiary, żeby połączyć ich we wspólnym kulcie.

Jako najbardziej stosowna - napisze postulator generalny ks. dr Tomasz Kaczmarek - nasuwała się wtedy formuła procesu „cum sociis”, tj. biskup Michał i współświadkowie wiary - towarzysze męczeństwa.

Okazało się, że heroiczne świadectwo wiary w czasie prześladowania Kościoła w okresie drugiej wojny światowej spośród Polaków złożyli nie tylko duchowni z obozu w Dachau, ale że chodzi tu o szerokie grono wiernych, odzwierciedlające przekrój całego Kościoła w naszej Ojczyźnie. Byli przecież wśród nich biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice, wierni świeccy...

Na konferencji Episkopatu Polski 1 grudnia 1989 roku zaaprobowano podjęcie takiego procesu, a w dniu jego otwarcia, w styczniu 1992 roku, grono kandydatów obejmowało 92 osoby. Z czasem poszerzono tę grupę do 114 osób.

W listopadzie 1991 roku przełożony salezjańskiej Inspektorii św. Jana Bosko (Wrocław) ks. dr Adam Śmigielski zwrócił się do głównego postulatora, ks. dra Tomasza Kaczmarka, o włączenie pięciu salezjańskich wychowanków do Procesu. W odpowiedzi z dnia 24 listopada 1994 roku czytamy między innymi:

Załączone materiały pozwalają przypuszczać, że w ich przypadku będzie można wykazać męczeństwo za wiarę w ścisłym sensie. Kandydatury te zostają przeto włączone do Procesu.

Ksiądz Inspektor Adam Śmigielski na stanowisko wicepostulatora sprawy salezjańskiej wyznaczył ks. Władysława Nowaka, studenta KUL-u.

W 51. rocznicę śmierci bpa Michała Kozala, w katedrze wrocławskiej odbyło się 26 stycznia 1994 roku uroczyste zamknięcie trwającego dwa lata procesu diecezjalnego bł. bpa Michała Kozala i 98 towarzyszy-męczenników w Polsce. Gospodarzem uroczystości był biskup wrocławski, Bronisław Dembowski, który na zakończenie sesji publicznej, przeprowadzonej w katedrze, podpisał pismo kierujące akta spraw od Kongregacji ds. Kanonizacyjnych. Następnie 15 biskupów i kilkudziesięciu kandydatów pod przewodnictwem Prymasa Polski kard. Józefa Glempa celebrowało Mszę św. w intencji wyniesienia na ołtarze 98 męczenników.

Między nimi znajduje się Poznańska „Piątka”.

Co jeszcze dodam? Książki *Wierni do końca* i *Dzienniczek Edy Kaźmierskiego* nie są jedynymi materiałami do Procesu. Wyznaczeni przez arcybiskupa ks. dra Jerzego Strobę ks. kanonik Zygmunt Chwiłkowski i ks. notariusz mgr Ireneusz Dosz przesłuchali wiele osób, które znały pięciu chłopców z poznańskiego ‘Oratorium. Spisano relacje ich rodzin, znajomych, kolegów, wychowawców.

Słowo wstępne kończę fragmentem wiersza poetki Jadwigi Urbanowicz, który napisała po przeczytaniu *Wiernych do końca*:

*(...) Matka Boża nad nimi schylona
zagarniała ich w swoje ramiona,
otulała płaszczem błękitnym,*

*żeby bólu nie czuli, ni lęku
i szeptała, szeptała,
głosem słowiczym, przeczystym,
ze to tylko jest chwila niewielka,
że tak łatwo jest przejść przez ten próg...*

*Błogosław ich Boże, błogosław!
Niech cisza ukoi ten żal,
który tu po nich pozostał...
i pozwól im patrzeć przez wieczność
na Polskę, na ziemię bezkresną,
na Poznań umiłowany,
by jeszcze raz,
jeszcze raz
w dzieciństwa wrócili czas.*

ks. Leon Musielak

CZEŚĆ PIERWSZA

JAK ZŁOTO W TYGLU...

ORATORIA KSIĘDZA BOSKO

Jeżeli chcemy podnieść poziom moralny społeczeństwa, przywrócić mu szlachetność ducha, natchnąć je zdecydowaną postawą chrześcijańską, to reformę tę trzeba przeprowadzić od podstaw, w duszy młodego pokolenia. Prawda że chrześcijańskie kształtowanie sumień i charakterów dokonuje się przede wszystkim przez duszpasterską działalność w kościele, w salce katechetycznej, środkami społecznego przekazu i tylu innymi sposobami dostępnymi apostołskiej gorliwości. Mimo to formy takie, jak świetlice w typie oratoriów św. Jana Bosko pozostaną zawsze jednym z najbardziej twórczych czynników w pogłębianiu chrześcijańskiej idei życia.

Oratoria księdza Bosko od przeszło stu lat we wszystkich krajach, wśród różnych warunków politycznych i społecznych, szeroko rozwijały swą działalność i świetnie zdały egzamin ze swej przydatności społecznej i wychowawczej.

Warto dodać, że oratorium stosuje równie bogate środki oddziaływania co świetlica, a więc miłe rozrywki, pisma, bibliotekę, wycieczki, kolonie, wieczornice, prace zbiorowe, specjalne zajęcia osobiste, teatr, występy i popisy. Te zajęcia nie są celem samym w sobie, tylko środkiem do wyrobienia w ich uczestnikach zdecydowanej postawy chrześcijańskiej.

I ODDAŁ SIĘ DZIEŁU MIŁOSIERDZIA...

Udzielając posłuchania klerykom wielkiego seminarium rzymskiego, Ojciec Święty Pius XI wręczył im na pamiątkę medalion z podobizną bł. Jana Bosko i powiedział:

Bł. ks. Bosko jest wzorem pobożności i mądrości kapłańskiej. Obserwowaliśmy go niegdyś z bliska i możemy stwierdzić, że zawsze z całym poświęceniem oddany był miłosierdziu i zawsze ściśle był zjednoczony z Bogiem. Przy obcowaniu z Nim odnosiło się wrażenie podwójne: że jest całkowicie oddany temu, o czym mówi, że widzi wszystko, co się koło niego dzieje, a jednocześnie jest zatopiony w Bogu. Wszystko, co mówił było tak doskonale, że czuło się, że czerpie to z Boga. Nie mniej cudowne było jego życie duchowe. Jako kleryk uczył się doskonale, a i potem jeszcze się uczył.

W początkach życia kapłańskiego ułożył sobie plan nauki z historii Kościoła, ale później powiedział: „Spostrzegłem, że Bóg wzywa mnie do czegoś innego”. I oddał się dziełu miłosierdzia, w tysięcznych formach przekazując swym synom wszystko, co zdobył w naukach. Każdemu z wychowanków poświęcał się tak, jakby on jeden tylko istniał dla niego. To wszystko przychodzi mi na myśl - zakończył Papież - gdy patrzę na ten medalion, który dla was przygotowałem. Weźcie to jako wzór dla swego życia.

Z tych „tysięcznych form” chrześcijańskiego miłosierdzia dla księdza Bosko i jego duchowych synów najbardziej zasadniczymi były i są nadal te związane z oratorium.

POWITANO ICH Z PRAWDZIWĄ RADOŚCIĄ

Dekretem z 8 stycznia 1926 roku kardynał Prymas Edmund Dalbor zaprosił salezjanów do Poznania, do pracy w duchu księdza Bosko.

Jechali, aby wprowadzić się do ufundowanego w XIII wieku przez księcia Przemysława II kościoła z klasztorem dla Sióstr Dominikanek, potem powszechnie zwanym „Katarzynkami” od patronki kościoła św. Katarzyny. W czasach napoleońskich, od roku 1811 do 1814, kościół służył żołnierzom francuskim za magazyn win i wódek. Prusacy w roku 1822 zamienili kościół na magazyn wojskowy.

Do roku 1918, do czasu zmartwychwstania polskiej wolności, dotrwała tylko część murów klasztornych.

A kościół w 1926 roku?

Kościół podzielony na dwie kondygnacje, poprzecinany murowanymi ścianami. Na dole był magazyn porcelany firmy Cichocki, dalej jakaś pracownia łodzi. Na piętrze skład starych szmat i wełny firmy „Samodział”. Gdzie zakryścia, tam ustępy. Szyby powybijane, wilgoć.

Z prawdziwą radością dowiadujemy się, że pracowite i ruchliwe na każdym polu Zgromadzenie Salezjanów osiedla się w naszym mieście, obejmując w swój zarządek dawny klasztor Katarzynek przy ul. Wronieckiej 9 - pisał „Dziennik Poznański” 30 stycznia 1926 r. — Kościółek ten stał po dziś dzień jako świadek brutalnej przemocy i ucisku ciemnych wiary i ducha polskiego, stał głuchy, ociemniały, z wyciągniętymi ku niebu okaleczonymi ramionami, aż oto sprawiedliwym biegiem dziejów wrócił do prawego właściciela. Obecnie z woli J. Emin. Ks. Kardynała ma rozbrzmiewać gwarem młodzieży, ma zadrgać nowym życiem....

Wszyscy rozumiemy, jak olbrzymia i ciężka czeka ich praca, lecz dumni z naszych wiekowych zabytków, nie pozwolimy im samym się mozolić...

Nie były to tylko słowa. Szybko doszło do twórczego zrywu salezjanów wspólnie z miejscowym społeczeństwem.

„ŻYCIE ZAKWITŁO NA RUINACH...”



Maria Wicherkiewiczowa, badacz przeszłości miasta Poznania, wypowiedziała się w jednym z pism:

Kto obejrzy te nagie mury, ruiny, pustki ziejące z opuszczonego zakątka, podziwiać musi odwagę tych, którzy chcą, aby nowe życie zakwitło na ruinach.

Nie zabrakło odwagi pierwszym salezjanom, posłanym do Poznania oraz poważnej grupie społeczności wojewódzkiego miasta w dążeniu do celu, jakim jest przyszłość naszej młodzieży.

W lutym 1926 roku zmarł Prymas ks. kard. Edmund Dalbor, doskonale rozumiejący ideę, że należy w uwarstwieniu naszym społecznym stworzyć silny i oświecony stan średni, stan polskiego rzemiosła. Dlatego spojrzął na księdza Bosko.

I słusznie *Kapituła Metropolitalna, przekonana o życzeniach zmarłego Prymasa, zamiast wieńców na trumnę Arcypasterza, uprasza o składanie datków na powstający Zakład Księżych Salezjanów.*

Prace pod przewodnictwem księdza dyrektora Antoniego Środki posuwały się tak szybko naprzód, że 25 maja 1927 roku pisał „Kurier Poznański”:

Zdawać by się mogło, że tchnienie wiosny podziało także na sędziwe mury kościoła św. Katarzyny przy ul. Wronieckiej, które z dniem każdym się ożywają. Do niedawna odrapane, podziurawione, dzisiaj już są przyodziane świeżym tynkiem zdobnym we wdzięczne gzymsy i stiuki. W kościele samym osadzono już skromne, lecz artystyczne witraże, posadzka kamienna na ukończeniu, a prace murarskie też dobiegają końca.

Poświęcenia kościoła dokonał salezjanin Prymas Polski ks. kard. August Hlond dnia 6 czerwca 1927 roku, a główny ołtarz konsekrowano 28 maja 1928 roku. Potem przyszły organy, ufundowane wspólnie przez kupców z okazji pięćsetnej rocznicy powstania Korporacji Kupieckiej w Poznaniu.

W niedzielę, dnia 9 marca 1930 r. - informowała wspomniana gazeta - odbył się w zakładzie salezjańskim przy ul. Wronieckiej 9 zjazd byłych wychowanków salezjańskich województw poznańskiego i pomorskiego... Zjechało się bardzo ważne grono osób, które swego czasu wychowywały i kształciły się w znanych i cenionych w całym świecie zakładach i szkołach bł. księdza Jana Bosko... Zjazd niedzielny BWS wykazał dobitnie nieprzerwaną łączność duchową byłych wychowanków salezjańskich z wielką ideą religijno-społeczną największego wychowawcy naszej epoki...

Potem sprowadzono relikwie bł. Jana Bosko. Do tego ogólnego i wszechpolskiego hołdu przyłączył się Poznań 31 maja 1930 roku pod patronatem wybitnego Prymasa ks. kard. Augusta Hlonda. Stanowisko dyrektora w zakładzie zajmował wtedy ksiądz Jan Kasprzyk. Relikwie umieszczono w ołtarzu, wystawionym ku czci nowego Patrona.

ŚPIEWEM I MODLITWĄ...

7

ŚPIEWEM I MODLITWĄ...



W statystyce dzieł salezjańskich naczelne miejsce zajmują oratoria. Nic dziwnego, że w Poznaniu ta forma pracy wychowawczej księdza Bosko, która wyrażała się w postaci serdecznej opieki nad chłopcami zbieranymi doraźnie, również zajęła miejsce wyjątkowe. Do pełnego rozkwitu Oratorium poznańskiego doszło w czasach dyrektorowania księdza Augustyna Piechury, autora książki *Szkoła muzyczna* oraz kompozytora utworów religijnych. Przewodził on wspólnocie zakonnej przy ul. Wronieckiej od 1931 do 1937 roku. Zorganizował salki dla chórów: Mariańskiego, mieszanego, liczącego około 40 członków, Stowarzyszenia Misyjnego panien od lat 17 do zamążpójścia i dziecięcego chłopców. Dwa pierwsze chóry zainicjowali w początkach odrodzonej placówki ksiądz dyrektor Antoni Środka i ksiądz Leon Czerwiński, wypiełgnował je potem ksiądz dyrektor Jan Kasprzyk, a do perfekcji doprowadził ksiądz Piechura. I on dał początek trzeciemu chórowi - chłopców.

W tym czasie na Uniwersytecie Poznańskim studiowało od czterech do sześciu księży i tyluż kleryków. Klerycy - oprócz studiów uniwersyteckich - pracowali w Oratorium. Utworzono sekcje. Ogólnoorganizacyjną prowadził kleryk Leon Musielak, sportową kleryk Sylwester Rajzer, gry i zabawy kleryk Antoni Wiktorowicz, a klerykowi Wilhelmowi Dworowemu polecono kierować sekcją kościelną i towarzystwami religijnym oraz chórem ministrantów, nadzorowanym przez księdza dyrektora Piechurę.

Dla młodzieży oratoryjnej ksiądz Dyrektor przygotował większą salę ze sceną, zaprowadził centralne ogrzewanie i zorganizował bibliotekę, w której po roku na półkach wystawionych było ponad 2000 egzemplarzy.

Do Oratorium przyjmowano chłopców od ośmiu lat; z biegiem czasu ich liczba doszła do 180. Prawdziwą chlubą poznańskiego Oratorium i niezbitym dowodem, że obrało ono właściwy kierunek, było życie religijne młodzieży. Chłopcy bardzo licznie i często przyjmowali Komunię św. Wzruszające były przygotowania do większych uroczystości kościelnych, np. świąt Niepokalanej. Młodzieży nie dość było uczestniczyć w nabożeństwach wieczornych i wysłuchiwać głoszonych kazań. Gromadzili się jeszcze na boisku, u stóp Niepokalanej Wspomożycielki, umieszczonej w specjalnie przygotowanej grocie, by jeszcze raz, przed rozejściem się do domów, uczcić Niebieską Królową deklamacjami i śpiewem. Były to prawdziwe akademie maryjne, pociągające i starszych swoim urokiem. To samo trzeba powiedzieć o przygotowaniach do uroczystości Bożego Narodzenia, św. Jana Bosko, Najświętszej Wspomożycielki i innych świąt.

Począwszy od roku 1935, od przyjazdu z kolonii wakacyjnych z Ostrzeszowa, chłopcy domagali się też codziennych wspólnych modlitw wieczornych ze „słówkiem” na dobranoc. Ceremonie kościelne oraz śpiew chóru oratoryjnego ożywiały i pogłębiały duchowe życie oratorianów. Wielu chłopców należało również do stowarzyszeń religijnych, rozwijanych w Oratoriach od czasów księdza Bosko.

W Poznaniu najmłodszy mieli Towarzystwo Najświętszego Sakramentu. Jego celem było rozbudzenie nabożeństwa eucharystycznego. Zebrania odbywały się co tydzień. Członkowie wygłaszali na nich krótkie referaty oraz ćwiczyli się w ceremoniach.

Duża grupa tworzyła Towarzystwo Niepokalanej Poczęcia, a ich zwołaniem było: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają”. Wychowankowie próbowali wspinać się śladami św. Stanisława Kostki i Dominika Savio ku szczytom wskazań maryjnych.

Po kanonizacji św. Jana Bosko w naszych zakładach zapoczątkowało swoją działalność towarzystwo pod jego imieniem. W Oratorium poznańskim doskonale przyjęło się ono wśród najstarszych chłopców. Prócz celu religijnego miało jeszcze za zadanie stronę praktyczną, życiową. Jego członkowie byli duszą Oratorium, dawali dowody angażowania się w różne dobre inicjatywy, organizowali obchody, przygotowywali salę, scenę itp.

PODCZAS ZABAWY WYCHOWYWAĆ

W swoim systemie wychowawczym św. Jan Bosko w sposób szczególny wykorzystał zabawę. Jako mały chłopiec zabawiał innych, a następnie prowadził do kościoła. Wychowywał przez zabawę również jako młody kleryk. Propagował i uczestniczył w zabawie przez cały czas swej pracy pedagogicznej, przekazując ją jako jeden z wielkich środków wychowawczych.

Ks. Bosko w kwestii zabawy nie wypowiedział się naukowo, bo był praktykiem, nie zastanawiał się nad jej źródłem, istotą, lecz z jego postawy pedagogicznej można wyciągnąć wnioski i ustalić pojęcie, a zwłaszcza funkcję zabawy w tzw. systemie uprzedzającym. Wychowanie w zakładach księdza Bosko jest zespołowe i dlatego środki służące do jego realizacji nabierają charakteru społecznego. Patrzył on na zabawę jako na naturalną czynność, z której płynie radość i zadowolenie. Był też zwolennikiem i propagatorem zabaw w wychowaniu, pod warunkiem jednak, że nie będą one naruszały dobrych obyczajów, a przyczynią się do umoralnienia człowieka, gdy same będą moralne.

W okresie jesiennym i zimowym sport, z wyjątkiem ślizgawki, pod którą wykorzystano teren podwórza, przenosi się na salę Oratorium - zanotowano w „Pokłosiu Salezjańskim”. Cztery stoły ping-pongowe, hridźbille, bilardy i wielka ilość gier najrozmaitszych przyciągają młodzież. Wśród uprawiających sport pokojowy zawiązało się samorzutnie „Kółko Sportowe”. Młode ono, ale już liczne, a co najważniejsze ambitne. Potworzono różne sekcje, patronaty, zarządy. Zorganizowano wielki konkurs gier pokojowych. Sekcja ping-pongowa ujęta aż w czternaście drużyn, podzielonych jeszcze na klasy A, B, C, wyszła poza własne boisko, a raczej poza własne stoły ping-pongowe, tzn. rozegrała na terenie Poznania przeszło dwadzieścia meczów. Piętnaście z drużynami KSM (wynik 13:1), trzy mecze z drużynami ZHP (wynik 3:3), pięć meczów z drużynami szkolnymi (wynik 5:0). Nic dziwnego, że ich ambicje rosną. Marzą o dalszych zwycięstwach.

Podwórko wprawdzie nie było duże, ale bawiło się na nim często sześćdziesięciu i więcej chłopców. W piękne wolne od nauki i święta dni Oratorium ruszało na łąki poza miasto albo w okoliczne lasy; do Puszczykowa, Swarzędza, Sołacza, na Winiary, na Szeląg, do Kobyłego Pola, na Maltę. Zdarzały się również wypadki rowerowe, np. do odległego o 42 km Krzyżanowa, pow. Śrem. Marzeniem wakacyjnym oratorianów były letnie kolonie w Ostrzeszowie, Promnie, Konarzewie, Wągrowcu, a także w Przemęcie.

PODBILI SERCA WSZYSTKICH SŁUCHACZY

Oratorium poznańskie w czasie ostatnich wakacji przeżyło chwile naprawdę piękne i miłe... Pełna uroku kolonia wypoczynkowa, w której wzięło udział 62 chłopców, chociaż minęła, pozostaje jednak nadal we wspomnieniach - pisano przypominając, że kolonia trwała od 15 lipca do 21 sierpnia.

Mniejsze lub większe wzmianki o kolonii znalazły się na łamach takich czasopism, jak „Gazeta Wągrowiecka”, „Głos Wągrowiecki”, „Przewodnik Katolicki”, „Kurier Poznański”, „Orędownik” i „Mały Dziennik”. Hałaśliwej gromadzie udzielił wielkodusznie gościny ksiądz radca Suszczyński w Konwikcie Arcybiskupim w Wągrowcu, a dzięki życzliwości dyrektora gimnazjum państwowego, pana Dubasa, mogła kolonia korzystać z dużego boiska gimnazjalnego, portyków, kąpieliska nad Jeziorem Durowskim. Nic dziwnego, że w tak idealnych warunkach kolonia się udała...

18 lipca chłopcy podbili serca miejscowego społeczeństwa.

Zdaje wam się, że tylko na międzynarodowym kongresie można widzieć i słyszeć wielkie rzeczy. Gdzie tam! - pisze „Przewodnik Katolicki” w sierpniu 1937 roku. - Oto wchodzę do wspaniałego kościoła poklasztornego, nad którym stateczny ksiądz Radca trzyma straż. Przy ołtarzu dostojna postać dziekana w otoczeniu licznej asysty jakoby w katedrze. Na chórze śpiewy chłopców salezjańskich z Poznania tak kunsztowne i piękne, że sam prałat Gieburowski byłby zadowolony. Śpiewał nawet jakiś kleryk z Poznania solo - tak potężnie, że nie wiem, czy Kiepura potrafiłby lepiej. A po nieszpórach urządziła kolonia miłych chłopców salezjańskich nawet akademię (bez biletu wstępu) z mową, muzyką i pieśnią - i to się nazywa odpust na prowincji...

25 lipca w auli państwowego gimnazjum odbyła się akademie ku czci Matki Boskiej.

Program wieczornicy był bardzo bogaty, składał się z dwóch części: religijnej i świeckiej - oceniła „Gazeta Wągrowiecka”.

Część pierwszą wypełnił wykład o Księdzu Bosko jako Patronie Zgromadzenia księży salezjanów, deklamacje i pieśni religijne. Druga składała się z operetki „Szkoła” i dwóch pantomim: „Amerykański fryzjer” i „Zaczytany”. Świetnie oddane sztuczki wywoływały wśród zebranych długo nie milknące salwy śmiechu, a huczne oklaski świadczyły o zadowoleniu publiczności. Na zakończenie chór chłopców odśpiewał swym gościom z wdzięczności za poparcie „Niech żyją” na cztery głosy, a pieśnią religijną zakończono piękną wieczornicę.

Co niedzielę chór oratorianów śpiewał też w czasie jednej z Mszy świętych. 8 sierpnia młodzież z kolonii wystawiła komedię w sali nowej strzelnicy. Do przyjemnych chwil wakacyjnych należały bez wątpienia całodzienne wycieczki urządzane co tydzień. Chłopcy zwiedzili zalesione góry w Kobylcu i Zakład Wojewódzki w Antoniewie, gdzie przyjmowano ich bardzo gościnnie, bo aż z orkiestrą, oraz byli w miejscowości Rościnnu, po ojcowsku tam przyjęci przez księdza rektora Kowalskiego.

Wiele wspomnień pozostawiła chłopcom wycieczka, a raczej pielgrzymka do Niemczyna, do cudownego obrazu Matki Boskiej, gdzie na zaproszenie księdza proboszcza Wojciechowskiego chór kolonii śpiewał podczas odpustowej sumy.

Kolonie w Wągrowcu w roku 1937 i inne zostały też w pamięci jednego z uczestników, oratorianina, który w czterdzieści lat później, już jako ojciec rodziny i kierownik administracyjny Wojewódzkiej Przychodni Przeciwwgruźliczej w Poznaniu napisze:

Do 1939 r. kilkakrotnie korzystałem z kolonii letnich, organizowanych przez księży salezjanów. Podana kolejność moich wspomnień może nie pokrywać się z kolejnością wyjazdów, ale nieważne są dla mnie kolejności lat, ważne są wspomnienia, które pozostały.

1. **Promno:** Przebywaliśmy przy jakimś młynie. Maluchy, to my, nocowaliśmy w stodole, natomiast starszysza w namiotach. Kuchnia i stołówka na polanie pod gołym niebem.

2. **Konarzewo:** Mieszkaliśmy na terenie majątku księżąt Czar-toryskich. Tutaj korzystaliśmy z pięknego parku i okolic.

3. **Wągrowiec:** Pamiętam pokoje w budynku klasztorным, piękne jezioro wraz z kajakami.

4. **Ostrzeszów:** Piękne lasy i boisko.

5. **Przemęt:** Wraz z latami najwięcej pozostało po pobycie w Przemęcie u państwa Nowaków. Tutaj to prawdziwy róg obfitości. Piękne jezioro, sad, a w nim stawy rybne, wycieczki do Wolsztyna i Zborowa, no i boisko, na którym udostępniono nam jazdę na koniu.

Do tych wspomnień należą jeszcze te przygotowania przed wyjazdami, ćwiczenia, uczenie się piosenek marszowych, a umiało się ich około pięćdziesięciu. Wyniki były wspaniałe! Kiedy maszerowaliśmy przez miasta i osiedla wiejskie, na dworzec i z dworca, śpiew imponował wszystkim przechodniom. Dzisiaj po tylu latach miło jest wspomnieć naszych wychowawców: kleryków, księży zawsze oddanych młodzieży. Miło też wspomnieć niezapomnianego „dziadzię”, śp. pana Kazimierza Karaśkiewicza. Wiele oni musieli się natrudzić, żeby zaspokoić zainteresowania wszystkiej młodzieży. Różnica bo do „taty” i „wuja”, to jest tych, których salezjanie wychowali na wielkich Polaków - więźniów politycznych, jak Edwarda Kaźmierskiego, Franciszka Kęsego, Czesława Józwiaka, Edwarda Klinika, Jarogniewa Wojciechowskiego do tych najmniejszych, tj. „ciutki” (Jerzego Antkowiaka) i wielu innych.

Na podkreślenie zasługują wspólne, łączące nas modlitwy, a w pamięci pozostały występy, ogniska i te liczne podchody, organizowane w dzień, czasami w noc. Dziś o tylu latach należy się najwyższy dowód uznania tym wszystkim Wychowawcom za ich serdeczne podejście do młodzieży, nie zawsze idealnej, a przecież w większości właśnie pochodzącej z klasy robotniczej.

Przebywanie na koloniach nauczyło mnie współżycia z innymi. Uczono mnie poprzez liczne przykłady, pieśni i piosenki miłości Boga i Ojczyzny. O wynikach przekonałem się dopiero później jako dziecko w 1940 r. będąc wywieziony na przymusowe prace do Niemiec.

Mimo iż przebywałem tam około pięć lat, a w tym dwa lata w izolacji od języka polskiego, to pracując śpiewałem sobie właśnie te wszystkie wyuczone na koloniach pieśni i piosenki.

*Na zakończenie chciałbym właśnie złożyć hold tym wszystkim, o których się dziś tak mało wspomina, a którzy właśnie w nas wpajali **miłość** do Boga, Ojczyzny i ludzi.*

„KOMPOZYTOR”

Kiedy przegląda się fotografie ze wspomnianych lat Oratorium poznańskiego, prawie na każdej stoją uśmiechnięci: Eda, Czesio, Frąsio, Jaroś. Nie dojrzysz tylko Edzia Klinika, bo on w roku szkolnym 1936/37 kończy czteroletnie gimnazjum salezjańskie w Oświęcimiu. Potem w Poznaniu zdobywał maturę i znowu pojawił się na Wronieckiej.

Czesia Józwiaka Towarzystwo Niepokalanej wybrało prezesem, a Eda Kaźmierski z Frąsiem Kęsym na zmianę jako prezesi kierowali Towarzystwem św. Jana Bosko. Wszyscy występowali na deskach teatru amatorskiego, który z roku na rok działał coraz sprawniej.

Edward Kaźmierski pozostawił pięć grubych zeszytów, w których prowadził *Dzienniczek* swoich zajęć i przeżyć od soboty 1 lutego 1936 roku do niedzieli 28 maja 1939 roku. Przy końcu każdego roku podaje role kreowane przez siebie na scenie.

W styczniu 1939 r., w sali Królowej Jadwigi, oratorianie wystawili komedię w pięciu aktach pt. *W pogoni za milionami*. Powtórzyli ją w tym samym miejscu 26 lutego: Józwiak wystąpił w roli eks-hrabiego, Kaźmierski był komisarzem policji, a Kęsy i Wojciechowski policjantami. W maju, w sali Ogrodu Zoologicznego, przygotowali melodramat pt. *Walka o duszę*, a w sierpniu na podwórzu salezjańskim obok kościoła przy ulicy Wronieckiej publiczność oklaskiwała humorystyczną sztukę *Mali ogrodnicy*. Kaźmierski jako Walenty wyróżnił się rolą zarządcy ogrodów. W listopadzie w sali Królowej Jadwigi szedł poważny dramat *Walka o Kresy*.

W roku 1937 - jak pisze w *Dzienniczku* Edward Kaźmierski - wystąpili na scenie piętnaście razy. Od czasu księdza dyrektora Augustyna Piechury w sali ogrodu Zoologicznego co roku rozbrzmiewały salezjańskie jasełka z muzyką, śpiewem i tańcem. Kaźmierski w *Dzienniczku* podkreśla, że w tańcu mazura Frąsio Kęsy święcił triumfy.

Z *Dzienniczka* dowiadujemy się również, że Eda rzeczywiście miał szczególne zamiłowanie do muzyki. Często chodził do opery poznańskiej.

Dzisiaj przed i po południu zacząłem pisać mój utwór w tonacji g-moll. Nie wiem, czy będzie się komu podobał - zanotowałem.

Skończył utwór i nazwał go *Wspomnienie*, zaczął pisać nowy w tonacji c-moll, a potem poprawił i trochę zmienił początek utworu *Wspomnienie*.

W ocenie kolegów uchodził za wielkiego muzyka. Inaczej nie odzywali się do niego jak „kompozytorze”.

Gdy w Poznaniu zjawił się Jan Kiepura, bardzo się Eda nim zainteresował. W sobotę 2 lipca 1938 roku, po zawodach w siatkówkę i koszykówkę; w salce Oratorium słuchali w radio audycji transmitowanej z auli Uniwersytetu Poznańskiego. Przed ukończeniem pięciu chłopców z Edą na czele pobiegło pod uniwersytet. Z balkonu Kiepura zapowiedział, że tu śpiewał nie będzie, ale zaśpiewa z balkonu Bazaru. Deszcz lał niesamowicie. Tłum ruszył co tchu pod Bazar. Pobiegli tam także chłopcy. Kiepura - po chwili targowania z publicznością zaśpiewał barkarolę *O pójdz do gondoli*, potem na ogólne życzenie *O sole mio*. Nastąpiła przerwa, znowu targowanie i ostatnie *Mów do mnie jeszcze*. Krótco przed dwunastą w nocy rozlegał się jeszcze polski hymn państwowy poddany przez Kiepurę, a podchwycony przez publikę - *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Chciałbym coś napisać pod mały zespół muzyczny - czytamy w Dzienniczku Edy - ale jakoś nie mogę się do tego zabrać... Gdy tylko usłyszę kilka jakichś potężnych akordów, zaraz w mojej wyobraźni plątają się jakieś melodie i sceny. Chcę coś napisać...

Spośród oratorianów nie tylko on komponował. W połowie stycznia 1939 roku doszło do poważniejszej sprzeczki między Edą a Januszem Kobusem.

Kto z nich lepszy - dyskutowali. Jako trzeci dołączył Jarogniew Wojciechowski i postanowili, że każdy w ciągu dwóch tygodni napisze utwór muzyczny na fortepian i odda księdzu Asystentowi do oceny.

Chłopcy należeli do chóru. Bardzo często rozlegało się w kościele solo Edy Kaźmierskiego.

Ja przy próbie głosu - notuje - osiągnąłem wysokiego „h”, a bez wszystkiego osiągnąłem wysokie „a”, ale mogę śpiewać także bas.

Żaden z „Piątki” nie zapominał o sporcie na boiskach, podczas wycieczek i w czasie kolonii. Edka II drużyna sportowa - a reprezentował też ją Jarogniew Wojciechowski - dzierżyła prym. Wykorzystywali wszelkie okazje, aby się odprężyć oraz wspólnie bawić. Pewnego dnia po nabożeństwie poszli na sankowanie. Koło „Łazienek Rzecznych” zjeżdżali z wału ochronnego prawie do godziny 22. Nie obyło się bez przygód. Koziołek za koziołkiem! Na samym początku Edek Klinik podarł spodnie, Frąsio popsuł sanki. Kaźmierski tak się przewrócił, że mu o mało głowa nie pękła, ale *jazda była wyśmienita* - zapisze w *Dzienniczku*.

PIELGRZYMKI DO CZĘSTOCHOWY

W roku 1936 Eda Kaźmierski wyciągnął zaświadczenie od swego proboszcza parafii Bożego Ciała w Poznaniu, księdza Joachima Wolnego tej treści:

Poświadczam, że Edward Kaźmierski, ur. 1.X.1919 r., zamieszkały w Poznaniu przy ul. Łąkowej 18 m 18 jest chłopcem uczciwym zasługującym na poparcie w czasie swej pieszej pielgrzymki do Częstochowy.

5 lipca wyruszył z „tata”, bo tak nazywano w Oratorium Czesia Józwiaka i szli przez Środę Wielkopolską, Jarocin, Ostrów, Kępno, Wieluń. Do Częstochowy dotarli 15 lipca. U Jasnogórskiej Wspomożycielki zatrzymali się trzy dni, a później wrócili do Poznania 27 lipca. Przebyli pieszo 503 km. W *Dzienniczku* widać zaznaczone miejsca zgłoszeń w poszczególne dni, pieczętki i podpisy burmistrzów, wójtów, sołtysów, placówki Straży Granicznej, księży proboszczów i ojców paulinów.

W 1938 roku w *Dzienniczku* Eda zanotuje:

Ciszę się już na piątek, kiedy wyjadę do Częstochowy. Przypomną mi się przygody, gdy przed dwoma laty szedłem na Jasną Górę.

Pojedzie razem z kolegami - żeby wziąć udział w Kongresie Salezjańskim, organizowanym na Jasnej Górze przez księdza inspektora Adama Cieślarza. Zjadą się w dniach 7 i 8 maja 1938 roku w Częstochowie z całej Polski salezjanie, Związek Pomocników, Córki Maryi Wspomożycielki oraz wychowankowie.

Wieczorem 6 maja o godzinie 19⁰⁰ w kościele przy Wronieckiej odbyło się specjalne nabożeństwo. Jak zapamięta autor Dzienniczka - idąc na stację kolejową z orkiestrą, pielgrzymka zatrzymała się przy pomniku Chrystusa Króla, by odmówić litanii do Najświętszego Serca Pana Jezusa.

O godzinie 22⁰⁵ pociąg nasz ruszył - czytamy dalej. - Śpiew, modlitwa... Potem każdy szukał miejsca na spanie. Usadwiłem się na bagażniku. Gdy mi jednak zanadto ta konstrukcja żelazna zaczęła dokuczać, schodzę na podłogę i nieszczęście... Koledzy mówią, że mam spodnie podarte. Co teraz robić? Zapasowych nie posiadam. Przypomniało mi się, że w sąsiednim wagonie jest moja siostra. Na pierwszym postoju biegnę do niej i opowiadam kłopotliwą historię. Na szczęście miała cały arsenał nici i igieł, no i przyszła do naszego wagonu, zacerowała i spokojnie mogłem jechać dalej.

W pierwszych blaskach słońca wjechali do Częstochowy.

W sobotę, 7 maja, po słowach powitania, jakie skierował do pielgrzymki poznańskiej któryś z salezjanów, weszli do kaplicy Matki Boskiej i przeżyli *wzruszające odsłonięcie cudownego obrazu*. Czekwały ich dwa dni głębokich wzruszeń modlitewnych, dwa dni najrozmaitszych wrażeń dla wszystkich. Słuchali kazań, referatów, uczestniczyli w dyskusjach. Kongres niewątpliwie przyczynił się do większego umiłowania ideałów maryjnych i salezjańskich w Oratorium poznańskim.

BYLI DZIEĆMI POZNANIA

Najstarszy z bohaterów tej opowieści **Edward Klinik** urodził się 21 lipca 1919 roku jako syn Wojciecha i Anastazji z domu Schreiber. Ojciec jego wykonywał zawód ślusarza - mechanika. Mieszkali przy ul. Zielonej 1/1. Z trojga dzieci najstarsza była Maria, przyszła zakonnica, najmłodszy Henryk. W roku szkolnym 1938/39 Edward zdał maturę w gimnazjum Bergera. W czasie okupacji pracował w firmie budowlanej Urbaniaka przy Drodze Dębińskiej.

Edward Kaźmierski był o parę miesięcy młodszy, bo urodził się 1 października 1919 roku jako syn Wincentego i Władysławy z domu Kaźmierczak. Wincenty miał zawód obuwnika. Mieszkali przy ul. Łąkowej 18/18. Edward miał pięć siostr. Po skończonej Szkole Powszechnej wujek Leon Wawrzyski zaproponował Edzie zajęcie „chłopca na posyłki” w sklepie dekoracyjnym na St. Rynku u Jakuba Abramowicza. Eda pracował tam od 5 listopada do 4 grudnia 1937 roku, a później salezjanin, ksiądz Władysław Bartoń, pomógł mu znaleźć miejsce w firmie „Brzeskiauto” przy ul. Dąbrowskiego. W poniedziałek, 3 stycznia 1938 roku, zaczął się uczyć i pracować tam w zawodzie ślusarsko-mechanicznym. W tejże firmie pracował również w czasie okupacji.

Czesław Józwiak przyszedł na świat 7 września 1919 roku. Rodzice, Leon i Maria z domu Iwińska, po roku 1930 przenieśli się do Poznania i zamieszkali najpierw na Wildzie, później przy ul. Żydowskiej 30. Ojciec Leon pracował w policji śledczej. W domu było czworo dzieci: dwie siostry i dwóch braci. W roku szkolnym 1938/39 Czesław uczęszczał do gimnazjum św. Jana Kantego, a w czasie okupacji był zatrudniony w firmie malarza Oskara Henfflera, wtedy ul. Hindenburga 1, dzisiejsza ulica Podgórna.

Franciszek Kęsy urodził się 13 listopada 1920 roku w Berlinie. Rodzice, Stanisław i Anna z domu Pieczka, wrócili do Polski w roku 1921 i zamieszkali w Poznaniu przy ul. Marchlewskiego 54/10. Mieli pięcioro dzieci. Ojciec, z zawodu cieśla, zaangażował się w Elektrowni Miejskiej. Franek nosił się z zamiarem wstąpienia do salezjańskiego Niższego Seminarium Duchownego w Łądzie. Żeby w czasie okupacji miał jakiś dokument zatrudnienia, Czesio Józwiak postarał mu się o pracę u Henfflera.

Najmłodszy, **Jarogniew Wojciechowski**, urodził się 5 listopada 1922 roku w Poznaniu jako syn Andrzeja i Franciszki z domu Pierzchalskiej. Zamieszkali przy ul. św. Marcina 22. Ojciec Jarogniewa, drogerzysta, rozpił się i opuścił rodzinę. Jarogniew postanowił - z braku pieniędzy - zrezygnować z nauki.

Jedyna siostra, Ludosława, musiała wtedy zarabiać na matkę i brata. Jarogniew przeniósł się do Miejskiej Szkoły Handlowej oraz uczył się zawodu w drogerii Stanisława Dyczkowskiego przy ul. św. Marcina 28.

MAŁA RODZINA SALEZJAŃSKA

Już w początkach listopada 1939 roku Poznań obiegła wiadomość, że Niemcy zamykają kościoły. W zakładzie przy ul. Wronieckiej pozostawili tylko dwa pokoje dla księdza dyrektora Emanuela Słodczyka i dla brata zakonnego Józefa Górskiego, a resztę pomieszczeń zajęła grupa saperów w liczbie sześćdziesięciu. Saperów odwołano na front zachodni w 1940 roku, ale w domu urządzono magazyn wojskowy. Kierownik magazynu za wszelką cenę postanowił salezjanów z domu przepędzić. To mu się udało i wtedy ksiądz Słodczyk zamieszkał w pokoiku nad zakrystią, wkrótce jednak i to miejsce musiał opuścić, a kościół zamknięto i zamieniono na magazyn wojskowy.

Jak wspomniałem we wstępie, początkowo chłopcy zbierali się wieczorami w Oratorium. Jeden z nowych kolegów, Stefan Stuligrosz, były śpiewak księdza Gieburowskiego, zorganizował chór męski, w którym śpiewała cała nasza piątka. Co niedzielę występowali w salezjańskim kościele, gdzie przez prawie dwa miesiące Stuligrosz pełnił funkcję organisty. Długo to nie trwało...

Pierwszy cios nas dotknął. Musieliśmy opuścić Oratorium i kościół. Z bólem żegnaliśmy te kochane mury, gdzie tyle spędziliśmy miłych chwil - napisze po latach wspomniany już Henryk Gabryel, kolega bohaterów tej książki.

Przenieśli się do Braci Serca Jezusowego na Śródkę, których znał dobrze Stuligrosz. Mieli do dyspozycji pokoik z fortepianem i w nim spędzali teraz wolne chwile oraz wieczory. Co niedzielę śpiewali w kościele Najświętszej Maryi Panny lub św. Małgorzaty na Śródce czy też w innym, jeszcze nie zamkniętym kościele. W lecie 1940 roku zbierali się w ogródkach działkowych za Chwaliszewem lub nad Wartą. Czasem w niedzielę wybierali się na dłuższe wycieczki za miasto.

Było nam razem dobrze - wspominał Henryk Gabryel. - Panowała zgoda i jedność. Tworzyliśmy nadal małą rodzinę salezjańską.

UBRAĆ SIĘ CIEPŁO

UBRAĆ SIĘ CIEPŁO!



Już jesienią 1939 roku w wielu polskich rodzinach i domach zaczęła się konspiracyjna działalność. Wraz z innymi nielegalnymi organizacjami powstało Wojsko Ochotnicze Ziemi Zachodnich. Należały do niej w Poznaniu gimnazja: Bergera, Kantego, Marcinkowskiego, Czajkowskiego, Marii Magdaleny i Mickiewicza, a także młodzież z Warszawskiego Osiedla, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej „Winiary” oraz studenci.

Widząc zagrożoną przez wroga wiarę, widząc splugawione przez hitleryzm kościoły, zdecydowali się na ofiarę i wszystkie, łączące się z tym konsekwencje.

Siostra Józwiaka pamięta do dzisiaj, że jej brat słysząc o torturach w gestapo kazał starszemu bratu bić się mocno rzemiennym pasem. Weszła raz do pokoju i widziała, jak Wacław uderza Czesia z całej siły pasem po plecach, w bok prawy, lewy i po nogach.

- Co robicie, kochani?! Zwariowaliście? - zapytała.

- Trzeba ciało hartować, żeby w dniach próby nie załamać się - odpowiedział Czesio.

21 września 1940 roku, w sobotę, został aresztowany Edek Klinik. Wzięli go z miejsca pracy i chociaż podobne zdarzenia miały miejsce nieomal codziennie, to jednak aresztowanie kolegi bardzo zasmuciło pozostałych. Poszli pocieszyć rodziców Klinika. W niedzielę, 22 września, śpiewali w Kaplicy na Mszy św. u Sióstr Najświętszego Serca Jezusowego przy Placu Nowomiejskim, a w poniedziałek wieczorem zebrali się, jak zwykle, w ogródkach działkowych. Czyżby sądzili, że niebezpieczeństwo minęło? Rozmawiali o wojnie, nawet żartowali, a później, nie chcąc przypadkiem przekroczyć godziny policyjnej, ruszyli do domu. Po drodze odwiedzili rodziców Klinika. Żaden z chłopców nie przypuszczał nawet, że Niemcy podejrzewają ich o przynależność do tajnej organizacji wojskowej i tej nocy aresztują...

Po powrocie do domu Franek otworzył okno w kuchni, wziął różaniec i patrząc w niebo modlił się. Taki miał zwyczaj.

Ocknął się na głos matki i zbladł, zobaczywszy gestapowców. Kazali ciepło się ubrać.

- Nie rozpaczajcie - powiedział do rodziny.

U Wojciechowskiego matka i córka spały. Jarogniew rozebrał się do snu i wtedy do mieszkania wpadło dwóch:

- Ubrać się ciepło - zażądali.

Jarogniew prosi, czy może pójść do toalety. Za nim powlókł się policjant i pilnował chłopca, stojąc przy wejściu. Kobiety tymczasem pakują coś do jedzenia. Następują uściski wśród łez i lamentu. Matka z płaczem czyni nad Jarosiem wyraźny znak krzyża świętego. Na podwórzu Jarogniew spostrzegł, że w kieszeni ma pieniądze. Chciał zawrócić i wręczyć je matce. Policjant zabrał i powiedział, że jutro sam odda. Nie oddał nigdy...

Siostra Ludosława pracowała w banku „Vesta”. Po aresztowaniu brata otrzymała natychmiastowe wypowiedzenie, a później, jako pracownik fizyczny, znalazła zatrudnienie w DWM przy ulicy Strumykowej.

W rodzinie Józwiaków po aresztowaniu Klinika trwała dyskusja. Ojciec proponował ucieczkę, ale Czesio stanowczo temu się sprzeciwiał: po co narażać matkę i rodzinę...

Przy aresztowaniu byli rodzice, starszy brat Wacław i najmłodsza siostra Władysława. Dziewczyna spała, Czesiu chciał ją zbudzić, by się z nią pożegnać, jednak gestapowiec na to nie pozwolił.

- Szybko naprzód! - poganiał.

U Kaźmierskich wszyscy spali. Gestapowcom drzwi otworzyła Maria, siostra Edy. Nie mogła brata dobudzić.

- Ubierać się ciepło! Wstawaj! - wołał Niemiec, stanąwszy obok łóżka chłopca.

Razem z „Piątką” wzięto tej nocy także oratorianina Henryka Gabryela.

Stanęliśmy przed domem, gdzie mieszkał Edek Kaźmierski - napisze w cytowanych już wspomnieniach. - Po chwili było nas już trzech. Nie mówiliśmy do siebie nic...

Zajechaliśmy do Domu Żołnierza - siedziby gestapo, gdzie już byli Józwiak, Kęsy i Wojciechowski. Byliśmy znowu wszyscy razem. Na drugi dzień odbywały się przesłuchania indywidualne, przy których bicie było rzeczą normalną. Najwięcej znęcali się nad Józwiakiem. Wieczorem zawieziono nas na Ławicę, do Fortu VII.

CZEŚĆ DRUGA

WIEZIENNA NIEDOLA

PO PROSTU W PIEKLE...

Fort VII to jeden z fragmentów fortyfikacji miasta Poznania z końca XIX wieku. Starannie zamaskowano go ukształtowaniem terenu, opasano szeroką i głęboką fosą, wałami, zadrzewiono oraz obsadzono różnego rodzaju zielenią.

W październiku 1939 roku Niemcy postanowili przystosować Fort VII dla swoich celów. Powstał tu podlegający niemieckiej policji bezpieczeństwa obóz przejściowy, z czasem zamieniony na więzienie policyjne.

Z najbliższych budynków mieszkalnych i willi usunięto ludność polską, a osiedlono rodziny funkcjonariuszy obozu, urzędników SS, gestapo i wojska. Do fortu prowadziła kręta, niedostrzegalna dla przechodnia wąska droga. Przed bramą wejściową z prawej strony znajdował się biały, jednopiętrowy budynek z pruskiego muru, w którym mieściła się komendantura i administracja obozu. W tym budynku między innymi przyjmowano interesantów oraz paczki dla więźniów. Tu wypłakano morze łez za tymi, którzy przebywali niedaleko stąd...

Przed skierowaniem do celi chłopcom zabrano rzeczy osobiste, a nawet różańce, ale ci wykorzystując nieuwagę gestapowca sprytnie wyjęli je z kosza i schowali do kieszeni.

Czterech z grupy skierowano do celi, a właściwie do bunkra z numerem 58, przeznaczonego dla osiemdziesięciu więźniów, a w inne miejsce w podziemiach zabrano Edzia Klinika. Cała piątka znalazła się nagle wśród ludzi w różnym wieku, piętnastoletnich chłopców i starych siedemdziesięcioletnich. Byli tu lekarze i robotnicy, nauczyciele, ale przeważała młodzież.

Pierwsze transporty więźniów przybyły do Fortu VII w połowie października 1939 roku - czytamy w informatorze o tej i innych hitlerowskich katowniach. - Składały się z osób aresztowanych przez posuwające się za Wehrmachtem grupy operacyjne policji i służby bezpieczeństwa. Aresztowania objęły przede wszystkim inteligencję; liczną grupę aresztowanych stanowili też powstańcy śląscy i wielkopolscy. Transporty z aresztowanymi napływały do Fortu VII do końca 1939 i przez pierwsze miesiące 1940 roku.

Od kwietnia 1940 roku do Fortu VII zaczęło Gestapo kierować uczestników ruchu oporu...

Oderwani od rodzin, rzućeni do lochów ludzie nazywali fort po prostu piekłem. W celach bez okien, a więc bez światła dziennego i możliwości zmiany powietrza, stale świeciła się jedna żarówka. Otwory w drzwiach stanowiły zarazem tzw. „Judasze” - okienka do podglądania. Bardzo często zamykano je, aby więźniowie czegoś nie zauważyli albo nie mieli za dużo „świeżego” powietrza. Strażnicy z byle powodu, a czasem i gorliwości oraz sadyzmu - bo takich tu zaangażowano - wpadali do cel i kijem lub bykowcem tłukli aresztowanych...

Około godziny 5³⁰ dyżurujący na korytarzu wachmann włączał światło. Przebudzeni więźniowie pośpiesznie się ubierali, a później pędzili do toalety; były to ustępy typu „za stodołą”. Na załatwienie czynności fizjologicznych mieli jedną do dwu minut, a następnie - też w galopie - myli się pod kurkiem. Na śniadanie dawano 200 g chleba i kubek czarnej kawy. Od godziny 9 do 10 - ruszali na świeże powietrze; przez dziesięć do dwudziestu minut przy akompaniamencie wrzasków, kija, bykowca, pod nadzorem tresowanych psów. Kazano im niekiedy biegiem wspinać się na górki, a z nich koziołkować na dół, głową do tyłu. O godzinie 12 dostawali kubek zupy. Zgłodniałych ratowały paczki, które w roku 1940 można było od czasu do czasu otrzymać. O godzinie 18 dostawali na kolację kubek czarnej kawy. O godzinie 20 znowu strażnicy - przy sprawdzaniu porządku - mieli okazję do bicia, a w kwadrans później gaszono światło. Jedni zasypiali natychmiast, inni długo leżeli w milczeniu lub szeptem rozmawiali...

Na śledztwo z Fortu VII zabierano przed południem lub po obiedzie. Wachmann przychodził z listą, a wówczas we-zwani przez gestapo więźniowie ustawiali się w korytarzu twarzą do ściany. Kiedy już wszyscy byli gotowi, padała komenda ustawienia się czwórkami. Następnie maszerowano do głównego wyjścia, siadano do ciężarówek i odjazd w kierunku dawnego Domu Żołnierza - do gestapo. Prawie wszyscy - jak pisze we wspomnieniach Henryk Gabryel - z takich badan wracali pobici, zmaltretowani.

Do Fortu VII przysyłano paczki z żywnością lub garderobą, a w nich bardzo często grypsy; były one podstawą egzystencji więźniów, ich walki na co dzień. Rodzina odbierała bieliznę do wymiany, i w tych brudach, zakrwawionych rzeczach z kolei więźniowie przysyłali grypsy pisząc o swoich potrzebach, o samopoczuciu, o wszystkim, co się z nimi dzieje.

Siostra Wojciechowskiego, Ludosława, pamięta gryps ukryty w pokrąwionej chustce. Jarogniew pisze w nim, że bity jest do nieprzytomności i to trudno wytrzymać. *Módlcie się* - prosi najbliższych.

Rozłączony z rodziną i wszystkimi najbliższymi, leżę na słomie wśród obcych towarzyszy niedoli - czytamy w pamiętniku Edzia Klinika - Niektórzy z nich zainteresowani światem, mnie, nowicjusza, pytają o różne rzeczy. Na pytania te odpowiadam jednak mało, niechętnie, nieśmiało, gdyż nie wiem, z kim mam do czynienia. Jakże zmieniło się moje oblicze, gdy

znalazłem jednego z moich kolegów. Na wolności znaliśmy się niewiele. Uraczył mnie chlebem ze smalcem i dał mi kilka wskazówek.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby człowiek był sam na świecie. Lecz, o Boże, tam w domu jest serce matki. O matko, Tyś najwięcej wycierpiała. Ile to łez żeś uroniła, a serca na pewno nie mogłaś w boleści ukoić. Lecz, o Matko, czy ja chciałem zadać ten wielki cios Twojemu sercu? O nie, nigdy, przenigdy. Choć myślałem nieraz o tym... Szedłem zawsze za głosem wewnętrznym i czyn szlachetny przyświecał mym krokom...

Bardzo nie żałuję tego, com uczynił. Jedynie Ciebie, Matko, mi żal. O Boże wielki, racz mieć moją Najukochańszą Matkę w swej opiece. Dodaj Jej sił do przewyciężenia tego wszystkiego, co zaciążyło na Jej sercu. Zamiast boleści, wiedz do Jej serca dumę spartańską.

W czasie śledztwa Edzio pisze:

Poniedziałek, jeden z najstraszniejszych dni w mym życiu, którego nigdy nie zapomnę.

I nie złamany jeszcze raz, tutaj, w Fortach odezwie się do swych najukochańszych istot:

O mnie, Matko - napisze we wspomnieniach - bądź spokojna, gdyż ja z silną wiarą idę na życia bój! Wiem, że Ta, której oddałem się pod opiekę, stając się Jej rycerzem, czuwa zawsze nade mną i nigdy mnie nie opuści.

W celi nr 58 najgorsze były pierwsze dni. Nie mogli przyjść do siebie.

Wkrótce - zapamiętał Henryk Gabryel - pogodziliśmy się z wolą Bożą bez względu na następstwa, jakie miały nas spotkać.

Czesio tłumaczył i przekonywał, że te cierpienia tak samo są owocne dla przyszłości naszej Ojczyzny, jak walka żołnierza na froncie. Wybrali sobie wspólne legowisko, całymi dniami

śpiewali i żartowali. Po kilku dniach chłopcy popularnie zwani „wesołą czwórka” zgromadzili już ładną paczkę kolegów i zabawiali całą celę. Edek Kaźmierski podziwiał grę na skrzypcach Stefana Kaźmierczaka.

Tkwić będzie ta muzyka w jego uchu i zatęskni do niej jeszcze 8 maja 1942 roku pisząc w grypsie do matki i sióstr:

Nikt by nie uwierzył, że chłopcy w wieku 18 do 23 lat, którym zabrano wielki skarb - wolność, potrafią z taką pogodą, z takim zupełnym zdaniem się na wolę Bożą znosić tak przykry los. Pomimo ciągłych udręczeń, tak fizycznych, jak moralnych, gdy tylko drzwi się zamknęły za odchodzącym gestapowcem, już wracał humor i pogoda.

W swej celi Klinik - wśród innych więźniów - miał również hipnotyzera. Chłopiec często z nim rozmawiał. Napisze we wspomnieniach:

Właśnie zwraca się do mnie i próbuje, czy będę dobrym medium, lecz niestety zawiodłem. Po małej chwili rozpoczyna swój seans. Znalazł doskonale medium. Ach, co za jubel. Wszystkim lzy od śmiechu płynęły o policzkach. Naturalnie musiała być wzorowa cisza. Czego tam nie było!? Medium zamieniło się w psa, rybaka, niańkę, w ogóle wykonywało wszystkie życzenia.

Po czterodniowym pobycie w Forcie VII zaczął się robić ruch i zaczęto mówić o transporcie. Zebrano w jednej celi około 150 ludzi; ściśnięci siedzieli tak dwa dni i dwie noce. Cała

„Piątka” była znowu razem! Urozmaicali sobie czas śpiewami, deklamacjami i różnymi popisami.

W grypsie do siostry Ulki Edziu Kaźmierski napisze:

Na Fortach tośmy się darli na cale gardło, ale nie myśl, że zawsze, tylko w ten dzień i noc przed odjazdem na Młyńską.

W CELACH „NA MŁYNIE”

Wywieziono ich z Fortu VII samochodami ciężarowymi i wkrótce wylądowali na podwórzu przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu. W byłej kaplicy więziennej, dokąd ich zaprowadzono, przebywała już reszta towarzyszy niedoli. Część więźniów z Fortu przetransportowano do Wronek, ale „Piątka” została w więzieniu, zwanym „na młynie”. Trzymali się razem, by wejść do jednej celi i to się im udało. Radość wielka, a czas przy nauce kręcenia sznurka, szybko mijał. Wieczorem odmawiali wspólnie salezjańskie modlitwy, a ponieważ był to październik - nie zapomnieli o różańcu.

Po tygodniu rozrzucono ich; Klinik z Kęsym, Kaźmierski z Gabryelem, a Józwiak z Wojciechowskim poszli do osobnych cel. Widywali się tylko na podwórzu podczas wolnej godziny i wtedy chyłkiem ściskali sobie dłonie. W celi Edka Kaźmierskiego przebywało około dwudziestu więźniów, wśród nich notoryczni przestępcy.

Niezbyt nam odpowiadało to towarzystwo - pisze Henio - ale na to nie było rady. Początkowo patrzyli na nas spode łba, ale pod koniec to nas nawet polubili. Mielśmy zawsze piosenkę na ustach i dobre słowo.

„Na młynie” chłopcy zetknęli się z głodem, bo paczek: nie przyjmowano. Henio Gabryel tu jednak poznał szlachetne serce Kaźmierskiego. Eda, chłopak nie zapalka, najwyższy z „Piątki”, zjadłby nie takie więzienne porcje. Przecież potrafił zjeść w pracy dziesięć skibek chleba, w celi po prostu zmuszał Henia, żeby za niego zjadał część głodowej porcji. W takim niedostatku dzielić się własnym kawałkiem chleba?! Henio napisze we wspomnieniach, że nie mógł wyjść z podziwu.

Klinik z Franiem trafili do dużej celi. Czas umiłał im tam swoimi opowiadaniem jakiś złodziejasek albo wielki podróżnik „na gapę”. Co chwila włączał się nigdy nie zgaszonym swoim językiem Tapka. Nie wiadomo, w jakim towarzystwie obracał się Jarogniew. Czesio Józwiak znalazł się między samymi opryszkami. Bezlitośnie mu dokuczali, spychali na niego najgorsze prace, a gdy odmawiał pacierz, śmiali się i szydzili.

- Co tak wymachujesz rękami? - wołali.

Po jakimś czasie Czesio dostał się do izby chorych i tam przebywał aż do dnia wyjazdu do Wronek.

OSKARŻENI O ZDRADE STANU

OSKARŻENI O ZDRADE STANU



W dniu 16 listopada 1940 roku z więzienia zwanego „młynem” wyruszyli do Wronek. Podczas transportu z Młyńskiej na dworzec najwięcej wycierpiał biedny Józwiak; dokuczał mu wrzód pod pachą, a w samochodzie ścisk był okropny. Klinik jak tylko mógł ochraniał Czesia przed zderzeniami kolebiących się współtowarzyszy. Poprawiło się w pociągu. Znowu byli razem.

Gmach więzienny we Wronkach zbudowano z czerwonej cegły w kształcie krzyża. Na skrzyżowaniu czterech skrzydeł stała tzw. ambona. Stamtąd naczelnik więzienia miał widok na całość. Na parterze zaobaczyli zegar i dzwon alarmowy. Cały budynek zelektryfikowany z sygnalizacją dzwonkową.

Przybyłych więźniów zgromadzono w dwuszeregu w jednym z korytarzy i tu wachman wywoływał po kolei nazwiska wyznaczając każdemu miejsce nowego pobytu. Niektórych odprowadzano do pojedynczych cel. „Piątka” marzyła w pociągu o wspólnym kącie. Zawiedli się, bo każdego z nich tutaj przewidziano na pojedynek.

Wpierw ich wykąpano pod natryskami, zważono, ogolono i ubrano w stroje więzienne. I tak stali się prawdziwymi więźniami, z tą tylko różnicą, że nad nimi naczelną władzą nie było już gestapo, lecz sąd, a na futrynie drzwi wejściowych do cel pojawił się tabliczka z określeniem przestępstwa: *Hochverrat* (zdrada stanu). Niektórych wachmanów ten napis będzie denerwował do tego stopnia, że zdecydują się przy lada okazji obrzucać chłopców obelżywymi wyzwiskami, bić pałką, kluczami lub pięścią.

Cela Józwiaka znajdowała się obok celi Gabryela. Na tym samym oddziale przebywał Kaźmierski, którego cela graniczyła z celą Kęsego. Klinik i Wojciechowski otrzymali miejsce na innych oddziałach.

Jestem w celi sam, drzwi zamknięte. Cztery gołe ściany, w oknach kraty, drzwi czarne, okute blachą, wrażenie straszne, nastrój ponury - napisze Klinik o pobycie we Wronkach. - Poleciałem się zaraz opiece Bożej i rozpocząłem porządki w celi. Jestem sam. Z nikim nie można porozmawiać, przed nikim się uzalić. O Boże, dlaczego mnie tak mocno ukarałeś? Czyż tak bardzo zasłużyłem sobie na to? Dlaczego włożyłeś tak ciężki krzyż na moje ramiona? Synu, nie rozpaczaj i nie szukaj pociechy u ludzi, gdyż kto szuka pociechy ludzkiej odsuwa się ode Mnie. Synu, patrz na Mnie. Obarczony ciężkim drzewem krzyża z miłości do ciebie szedłem na Golgotę i nie wydobyłem z piersi swojej słowa skargi, a ty już teraz narzekasz? Oddaj mi tylko miłość za miłość...

O Boże, ciężko zgrzeszyłem. Rzucając się na kolana dzisiaj prosić Cię tylko mogę o miłosierdzie, przebaczenie i pokutę.

Szczęśliwsza była czwórka, o ile tak można powiedzieć, którą ulokowano w jednym oddziale. Pod oknami dwóch bloków, usytuowanych pod kątem prostym, znajdował się duży plac, otoczony wysokim, kilkumetrowym murem, najeżonym tłuczonym szkłem i drutem kolczastym. Plac był miejscem rekreacyjnym dla więźniów, którzy pojedynczo szli w kółko jeden za drugim jak w manieżu. Ścieżką w poprzek koła chodzili wachmani. Wszystkich więźniów oddziałami prawie codziennie wypuszczano na to obwarowane i pilnowane podwórze; była to tzw. „wolna godzina”. Mieli chodzić w pewnym odstępnie jeden od drugiego, aby nie mogli się porozumiewać. Jednak podczas tych wolnych chwil jeden

drugiemu podawał taką czy inną wiadomość, karteczkę lub grypsik, a jeżeli któryś z więźniów chciał bezpośrednio z innym porozmawiać, wówczas musiał sprytnie przesuwać się do tyłu lub do przodu. Jeśli kogoś wachman przychwycił na łamaniu regulaminu, to częstował go pięścią, kopniakiem. Albo karano więźnia przysiadami pod murem z rękami do góry czy bagnetem pod siedzeniem, kazano biegać, skakać w przysiadach, tak zwanymi „żabkami”...

W celach na ogół było zimno. Wszystkim dokuczał głód. Na śniadanie otrzymywano 200 gramów chleba i czarną kawę, natomiast na obiad jeden litr zupy z buraków, pęczaku czy innych kasz. Kolacja składała się z jednej trzeciej rannej porcji chleba i pół litra zupy.

Z każdym dniem dodawano im pracy. Pierwszy tydzień był bez normy, w drugim musieli wykonać dziesięć metrów sznurka dziennie z celofanu czy papieru, potem 25-50 i wreszcie 100 metrów dziennie. Kto nie wykonał normy, nie otrzymywał obiadu, ale więźniowie nie załamywali się takimi szykanami. Czytamy we wspomnieniach Henia:

(...) tutaj, w tych najcięższych chwilach, mieliśmy najwięcej dowodów opieki Bożej nad nami. Jeżeli w więzieniu coś w kotle pozostanie po rozdzieleniu normalnej porcji — a przeważnie trochę zostanie - wtedy idzie tzw. „dolewka”. Otrzymanie do lewki zdarza się bardzo rzadko i zależy od wachmana. Taka dolewka wśród wygłodzonej młodzieży była czymś niepojętym dla zwyczajnego człowieka.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, 8 grudnia 1940 roku, dziwnym trafem dolewkę otrzymała wspomniana czwórka, mimo że przecież wszyscy obok siebie nie siedzieli. Podzielili się tą radością w czasie wolnej godziny, a na spacerze postanowili, od zaraz po kolacji, każdy w swojej celi, odbyć nowennę dziękczynną do Niepokalanej. Za informację Edkowi Kaźmierskiemu w grudniu zabroniono pisać list do rodziny, a Henio zamiast obiadu dostał lanie. Nie zrazili się.

W styczniu poszła druga informacja co do sposobu odprawienia nowenny przed uroczystością św. Jana Bosko. I znowu, przez cały tydzień, nie wypuszczano oddziału na wolną godzinę. Nie wiadomo dlaczego. I właśnie 31 stycznia 1941 roku, w uroczysty dzień św. Jana Bosko była wolna godzina.

Odczuliśmy wszyscy - pisze Henio - że św. Jan Bosko zrobił to, by nas pocieszyć wspólnym widokiem.

Życie we Wronkach - we wspomnieniach opisze Klinik - porównywać by można do pracy maszyny. Jeden dzień niczym nie różni się od drugiego. Człowiek żyje w podnieceniu zajęty tylko kręceniem sznurka, czyszczeniem celi i pucowaniem naczyń, począwszy od kibla, a skończywszy na zamku od szafki. Jak bardzo człowiek czeka na niedzielę, aby się odprężyć i za-znać trochę spokoju. Wielkie szczęście, że na naszym oddziale miało służbę dwóch Austriaków. Odnosili się do nas życzliwie.

W grudniu dostałem pierwsze wiadomości z domu. Wiele radości mi one sprawiły, ale niestety były bardzo, bardzo krótkie. Przy pracy towarzyszył mi zawsze śpiew. To był mój nierozłączny towarzysz. Zaczynałem od pieśni kościelnych, a gdy mi ich zabrakło, kończyłem świeckimi. One mi to przypominały czasy i chwile, w których nasi ojcowie i dziadowie przechodzili te same dzieje co my...

WIGILIA W WIĘZIENIU

O Boże, pierwsza wigilia poza domem - tak ten zbliżający się dzień zapamiętał Edward Klinik. - Chociaż celę przygotowało się do Świąt, to jednak tego gwiazdkowego zbytku nie było widać.

Wieczera wigilijna. Cicho, smutno, szary stolik przykryty serwetką, a na nim: dwa kawałki chleba, gziczka i czarna kawa. Nastrojowa więzienna wieczerza.

Święta minęły bez pracy, a następnie znowu kilka szarych, normalnych dni dopełniło rok 1940... Na przechadzce wciąż te same twarze... Aż dnia pewnego zmieniono miejsce naszej wolnej godziny. O Boże, jaką radość wlałeś do mego serca. Zobaczyłem twarz Jarocha. Było to 13 lutego 1941 roku. Lecz jeszcze większa niespodzianka. Oto Jarek podał mi nieznacznie opłatek, który mu z domu przysłali. Spożyłem połowę w celi z takim nastrojem, jak gdyby to była wigilia, a resztę zostawiłem, aby dać tym, którzy również nie mieli.

Od tego czasu minęło kilka dni, po których przyszło dużo nowych na nasz oddział. Między nimi znajdował się również Jaroch. Teraz już nie byłem „samotną sosną”. Chociaż złączyły się nasze wejrzenia, jakże różniej i weselej było mi na duszy...

Dnia 18 marca przychodzi wachman do celi i zapytuje mnie, czy chcę w tej celi zostać? Ponieważ była to cela zimą najcieplej-sza w całym więzieniu, dałem odpowiedź twierdzącą. Po obiedzie przychodzi i mówi, że powinienem tę celę opuścić, gdyż tutaj nie ma słońca. Zgodziłem się. Ach, co to za radość! Dzięki Ci, Boże, za taki zbieg okoliczności. Mogliśmy teraz ukradkiem porozmawiać. Czasami pukaliśmy w ścianę, chociaż to mi niezbyt dobrze wychodziło, a w pobliżu był stolik „hojniaka”! Obawa przed najazdem. A co znaczy stuknięcie towarzysza zza ściany, to wie tylko ten, który sam to przeżył.

Dostałem parszywą robotę - przeczytać można we wspomnieniach Edwarda Klinika - obieranie drutu z izolacji, ale to już zbyt długo nie trwało.

W liście od matki i siostry pisanym we Wronkach Jaroch dziękując za opłatek wyznaje: Wierzę zawsze w dobrego Boga.

W następnym liście smuci się bardzo na wieść o operacji matki:

Czy ma być operacja? - pisze. - Prosisz o moje modlitwy. Wciąż się modlę i za dnia, i w nocy.

W liście do rodziny już ze Spandau napisze: Wraca już mi całkowicie spokój, którego jakoś nie miałem we Wronkach.

W grypsie z Neukölln przed wyjazdem do Zwickau napisze Kaźmierski:

Dzięki Bogu, że nie do Wronek, choć nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Tam się poznałem i zauważyłem, jak mi dużo brakuje, aby być dobrym synem księdza Bosko, miłym Bogu, pożytecznym bliźnim i prawdziwą pociechą rodziny.

Kęsy w grypsie spowiada się rodzicom i siostrze:

We Wronkach siedząc na pojedynce, miałem czas, żeby siebie zgłębić, tam to przyszedłem do porozumienia ze swoją duszą. Tam poczułem, że robiłem źle. I tam postanowiłem żyć inaczej, tak jak nam kazał ksiądz Bosko, żyć, aby się Bogu podobać i Jego Matce.

Z jednej strony samotność była dla nich okropna, bo nie przemówić swobodnie do nikogo miesiącami wydawało się im torturą. Z drugiej strony była to okazja do błogosławionej, owocnej refleksji.

Po trzech miesiącach przeniesieni zostali na inny oddział i przebywali po trzech. W pierwszych dniach nie mogli się nagadać. Wprost upajali się własną mową, modlili się i śpiewali, za co niejeden oberwał od wachmana.

W czasie Wielkiego Postu odprawialiśmy Drogę Krzyżową, którą, dzięki Bogu pamiętałem całą - pisze Henio Gabryel. - W okresie Wielkiego Tygodnia wszystkie nasze rozmowy i myśli skierowane były na Mękę Pana Jezusa. W tym głodzie zdecydowaliśmy się na dodatkowy post. W Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę nie jedliśmy nic prócz zupy, którą musieliśmy spożyć. Chleb odkładaliśmy na święta. Post ten ofiarowaliśmy o zmiłowanie Boże nad nami.

W trzeciej dekadzie kwietnia sprowadzono ich na parter. Otrzymali własne, cywilne ubrania, a później kazano im się przebrać. W księdze podpisali odbiór depozytu, a później znowu zobaczyli twarze gestapowców, którzy przyjechali z Poznania podpisać akt oskarżenia.

Przeniesiono chłopców do specjalnych cel: Edzio Klinik siedział z Frankiem Kęsym i dwoma innymi.

Nie mogliśmy - pisze Klinik o wspólnej kolacji - tych ziemniaków zmęczyć. Jeszcze w łóżku i dnia następnego konsumowaliśmy. Wszyscy już posnęli. Franek chrapał jak najęty. Jedynie dwóch Edków marudziło. Lecz i tym sen zmorzył powieki i zasnął.

23 kwietnia 1941 roku o godzinie 8³⁰ odjechali chłopcy do Berlina, zaopatrzeni na drogę w suchy prowiant: chleb z wątrobianką. Jechali do rajku, jak mówili im polscy dozorczy: *Jedziecie do rajku.*

W wagonie siedzieli razem Klinik, Kęsy i Kaźmierski. Panował nastrój podniecenia, każdy oglądał swe bagaże, otrzymane bezpośrednio przed wyjazdem.

Bardzo porządni ludzie - oceni Klinik eskortujących chłopców funkcjonariuszy Schutzpolizei - Jakże inni od tych z Poznania. Jeden z nich nawet poczęstował nas papierosem. Ma się rozumieć, spaliliśmy gremialnie, każdy po jednym cugu. Odmówiliśmy różaniec z paciorkami w ręce, gdyż nie wiedzieliśmy, kiedy nam Bozia da znowu taką okazję. Potem czas leciał szybko na różnych debatach. Aniśmy się spostrzegli, jak stanęliśmy na jednym z dworców Berlina. Na peronie duży ruch. Lecz co za zdziwienie. Z poczekalni długim rzędem wysypuje się policja... Pierwszy raz w życiu moje ręce zostały skute w kajdanki... My, małe bubki, staliśmy się sensacją Berlina.

Samochody odwiozły nas do więzienia sądowego Berlin-Neukölln. Druga grupa, w której znajdował się tylko jeden z nas - Wojciechowski, udała się do Berlina-Spandau. O przydziale zdecydował alfabet.

Z grypsu Edka Kaźmierskiego dowiadujemy się, że w Berlinie-Neukölln wprowadzono chłopców do małego więzienia. Z Frąsiem Kęsym otrzymali celę 114 na czwartym piętrze, dookoła znajdowały się budynki, tak że specjalnego widoku nie było. Z lewej strony, niedaleko, wznosiła się wysoka wieża ratuszowa, zakończona „panną z siecią”. Blisko nich, w celi 113, umieszczono Klinika. Cela Józwiaka była na innym oddziale, blisko celi Henia Gabryela.

Początkowo wachmani odnosili się do chłopców ostro; przecież przywieziono wszystkich w kajdankach. Dopiero gdy poznali, że nie są żadnymi zbrodniami, zmienili stosunek na łagodniejszy, chociaż nie wszyscy i nie do wszystkich.

Warunki żywnościowe się poprawiły. Nie znaczy to, że głód się skończył. Do tego trzeba by porcje powiększyć pięciokrotnie - ocenia Gabryel we wspomnieniach. Pracą więźniów było tutaj lepienie torebek, kręcenie sznurka, sortowanie cebuli. Na takich zajęciach mijał dzień za dniem...

DZIEŃ W GRYPŚACH OPISANY



Edzio Kaźmierski tak utrwalił w grypsie przebieg całego dnia więziennego w Neukölln:

Bije piąta godzina. Krótki pacierz. Około godziny pół do szóstej biorę książkę i zaczynam sobie przypominać to, czego się poprzednio nauczyłem. Przedtem jeszcze: Frąsiu, śpisz?! Nie odzywa się. On śpi na ziemi. Tak na zmianę. Raz on w łóżku, raz ja, bo jedno tylko łóżko mamy, a dwa sienniki. Frąsiu kocem zakryty po same uszy. Teraz to już lekko go trącam i mówię: Już wpół!... Po chwili wyciąga spod poduszki pożyczoną od Edzia książkę i uczy się.

Bije szósta. Śpiewamy pobudkę i wstajemy. Po wymyciu się i ustawieniu naszych mebli, to znaczy po podniesieniu łóżka do ściany i przygotowaniu dużych płyt do robienia tytek, mówimy wspólnie pacierz. Około godziny siódmej zgrzyta klucz strażnika. Melduję: Achtung! Zelle 114 belegt mit zwei Man. Gut Morgen Herr Oberwachtmeister (Uwaga, cela sto czterysta zamieszkała przez dwóch ludzi. Dzień dobry, panie wachmistrzu). Wystawiamy kibel (po prostu duży nocnik na dwie osoby), śmieci i dzban wody. W pięciu minutach wszystko zostaje załatwione. Frąsiu szykuje do śniadania nóż, deseczkę, miski, garnuszki, no i kos-teczkę. Ja w tym czasie czyszczę kibel, bo dzisiaj mój dyżur. Kosteczką losujemy chleb, uprzednio mniej więcej równo dzielony. Po chwili przynoszą kawę. Każdemu leją do miski trzy czwarte litra i dają po kawałku suchego, więziennego chleba. Krótka modlitwa i rzucamy kostkę. Kto więcej wyrzucił, bierze kawałek z brzegu. Lejemy kawę do kubków i spożywamy Boże dary.

O godzinie siódmej trzydzieści jest tzw. „Freistunde” - półgodzinna przechadzka. Na niej widzimy się wszyscy oprócz Henia (on chodzi dopiero na następnej) i jeżeli wachman nie widzi, opowiadamy sobie więzienne plotki. Po spacerze zabieramy się do pracy, podczas której mówimy pacierz i śpiewamy „Godzinki”...

Wtem nasz pacierz przerywa pukanie do drzwi. Pomyślicie, co to? W więzieniu pukają, gdy chcą wejść? Otóż to tylko więźniowie między sobą to czynią, gdy klawisza nie ma. Na nasz „Haus II” wachman przychodzi rzadko, cieszymy się tutaj specjalnymi względami... Otóż to pukal Henio. Niosąc swe tytki do pracowni, nie zauważony przez nikogo, wstąpił na chwilę. Od razu powitanie:

- *Serwus Frąciu, Eda! Jak się macie?*
- *Pierwszorędnie - brzmi odpowiedź.*

Gwarzymy sobie chwilkę, oddajemy mu książeczkę „Naśladowanie Chrystusa”, którą nam pożyczył poprzednio. Temat schodzi na Joannę. Heniu wdycha. Czytaliśmy także jej kilka listów do niego. Kochają się jak dwa gołąbki. Trochę go naciągamy, no i wreszcie musi już iść do swego salonu. Robimy dalej. Już jedenasta. Czas leci. Frąsiu wdycha:

- *Co to jest, że z domu nie piszą? Czy się co, broń Boże, stało?*

Pocieszam go: Przecież ja także jeszcze nic nie dostałem. To przez ten nowy sąd tak długo się wlecze. Może będą jutro, może.

Zegar ratuszowy wybił trzy kwadranse na dwunastą. Po chwili przynoszą obiad. Dzisiaj jest wspaniały: siatki z ziemniakami w lupinach i sos musztardowy. Dzisiaj święto. Każdy otrzymuje trzy czwarte litra. Dzielimy ziemniaki, mała z małą, duża z dużą, musi być sprawiedliwie. Obieramy je i uczta. Przeglądamy wczorajszą gazetę „Völkischer

Beobachter”, którą Frąsio abonuje i po modlitwie około godziny pierwszej wykańczamy dzisiejszą pracę. Śpiewamy majowe nabożeństwo i bierzemy się do pisania tych grypsów.

O godzinie piątej po południu wystawiamy nasze „naczynko” oraz dzban wody. Po kwadransie wszystko załatwione. Kibel ładnie wyczyszczony, zamieciony nasz gabinet, umyć jego lokatorzy. Przynosi świeżą gazetę... Z nadzieją czekamy najbliższych wydarzeń, ale gazeta na potem. Zaczynamy modlitwy wieczorne, aby przed kolacją zdążyć, bo później chcemy nieprzerwanie pisać te grypsy. A gdy szaro się robi, to i spać się chce i ta modlitwa tak sennie wtedy wychodzi.

Zdążyliśmy. Wyciągamy do kolacji deseczkę, nóż, miski i kubki, ma się rozumieć kosteczkę też. Parę minut po szóstej przynoszą kolację: po skibce chleba z margaryną, sześć centymetrów kaszanki i trzy czwarte litra żółdziowej mokki. Podobną kolację mamy w niedzielę, tylko zamiast mokki jest słodka herbata i zamiast kaszanki jeden i pół centymetra wątrobianki lub salcesonu.

Już kolacja skończona. Piszemy dalej... Na koniec śpiewamy po cichu „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, przygotowujemy łóżka i polecając Was Bogu, idziemy spać.

Tymi słowami kończy się gryps autorstwa Edy Kaźmierskiego.

W więzieniu byli sami Polacy, więc „pocztę” zorganizowano przez tych, którzy do cel roznosili pracę. O bezpośrednich kontaktach wiele przekazał w grypsach do rodziny Franek Kęsy.

Ten mały „Bebis” - czytamy o Kliniku w jednym z grypsów - do nas na pięć minut wleci. Ja czasem idę do Edzia „Bebisia” albo do Jantaszka „potrzęsały” i siedzę trochę. Z Edziem Klinikiem i Czesiem widzimy się. Rozmawiamy co dzień z Czesiem na przechadzce. Czasem do nas przyleci. A z Edziem Kaźmierskim to my do niego walimy, bo tu tak można. Wieczorem otwieramy okna i rozmawiamy na migi albo alfabetem zrobionym z papieru.

Do Bożego Narodzenia przygotowywali się salezjańską nowenną. Prawdopodobnie jeden z nich odtworzył ją z pamięci i rozpiisał na skrawkach papieru wielkości szesnaście centymetrów razy trzynaście i pół centymetra.

Na przyjęcie Chrystusa Króla napisał: *pójdziemy wszyscy z pokłonem, psalm Radujcie się niebioso i wesel się ziemio*, hymn: *Głos z nieba dał się słyszeć już*, zakończenie: *Matko Odkupiciela*.

Przy końcu adnotacji czytamy: *Będziemy ją odprawiać w tym samym czasie, co ostatnio*.

Dlaczego do nas nie piszecie? Czy macie naprawdę tak mało czasu? Napiszcie nam, co u Was słychać? Z serdecznym pozdrowieniem Heniu i Czesiu - tej treści gryps z wymówkami znalazła rodzina Franka Kęsego w jego ubraniu, odesłanym z Berlina już po śmierci chłopców.

W liście zachowanym do dzisiaj Eda Kaźmierski dziękuje za opłatki:

Dzieliłem się nimi z kolegami, potem jedliśmy wieszery i śpiewaliśmy kolędy - pisze. - Było nas nie dwóch, lecz za pozwoleniem głównego dozorca trzech (Klinik). Gadaliśmy przez cały dzień. Mieliśmy przed sobą widokówkę świąteczną, opłatki i gałązkę świerku. Dzieciatku Bożemu za to dziękujemy.

Gwiazdka 1941 roku zastała w celi Henia Gabryela z Czesławem Józwiakiem.

Pamiętna gwiazdka - pisze Henio. - To nie taka, jak w roku poprzednim we Wronkach, gdzie nie było do kogo ust otworzyć... W Wigilię wyszorowaliśmy nasze cele, ustawiliśmy małą choinkę, stół nakryliśmy białym, czystym prześcieradłem. Poprzebieraliśmy się w cywilne ubrania, które mieliśmy w celi. Pod choinkę każdy postawił zdjęcie swoich bliskich, na pierwszym miejscu kochanych rodziców. Przed skromną kolacją podzieliliśmy się opłatkiem, który nam przysłano z domów w liście. Życzyliśmy sobie, by przyszła gwiazdka była już wolna i w wolnej Ojczyźnie.

CO ROBISZ W NIEDZIELE?

Urszula, najmłodsza siostra Kaźmierskiego, chorowała na skrzywienie kręgosłupa i jako kaleka jeździła na wózku. Eda bardzo ją kochał. W swoim Dzienniczku notuje, jak się z nią bawi, jak ją rowerem wozi nad Wartę, na cmentarz, do zamężnej siostry Heleny, jak jej z okazji imienin kupuje drobiazgi, dzieli się z nią „Mikołajem” czy gwiazdką przyniesioną z Oratorium.

Urszulko, teraz dopiero zobaczysz, gdzie wszędzie można rowerem zajechać - pisze do niej w grypsie datowanym 12 maja 1942 roku. - Wtedy dopiero poznasz naszą piękną ziemię, nasze góry, lasy i jeziora. Z Frąsiem już omawiamy, dokąd wszędzie pojedziemy... Tyś nawet połowy tego nie widziała, co widzieć by można. Teraz to nadgonimy.

A ponieważ siostra pytała w liście, jakie książki czyta i co robi w niedziele, Eda odpowiada:

My mamy polską książkę tylko do nabożeństwa. W niedzielę rano odmawiamy Mszę św. z Mszalika a po południu śpiewamy nieszpory. W powszedni dzień zawsze idą „Godzinki”.

W rzeczach odesłanych z Drezna rodzinie Klinika znalazła się między innymi książeczka do nabożeństwa, sklejona z pergaminowego papieru, a składająca się z czterdziestu ośmiu kartek o rozmiarach osiem i pół razy sześć i pół centymetrów; trzydzieści cztery kartki zapisane jednostronnie, trzynastą początkowych ołówkiem atramentowym, a resztę zwyczajnym. Autorem względnie przepisywaczem jej był sam Klinik, co wynika z porównania pisma w książeczce z pismem jego *Wspomnień*.

Na pierwszej stronie umieścił jak gdyby motto:

Ciężar krzyżowy bierze na ramiona zbolały Jezus, by dusza zgubiona - w tym świętym znaku - znalazła zbawienie i odkupienie.

Następuje modlitwa do Zbawiciela, a w jej zakończeniu czytamy:

O Boże mój, przebaczam wszystkim dla miłości Twojej... a tak spodziewam się, że i ja usłyszę z ust Twoich w ostatniej godzinie życia mego słowa te pożądane „Dziś będziesz w raju”.

I zaraz umieszczona jest modlitwa o cierpliwe znoszenie wszelkich przykrości życia. Często zapewne otwierali nią swoje dusze:

Upraszam Cię, Panie, o cnotę pobożnej cierpliwości. Błagam o nią u Twego miłosierdzia. Nakłoń mnie, Boże Wszechmogący, do naśladowania tych świętych Twoich, co w prześladowaniu, ubóstwie, w największych boleściach, przez miłość dla Ciebie, dochowali

wiernie chrześcijańskiej cierpliwości. Tobie się poruczam i oddaję, Boże mój. Dla Ciebie chcę wszystko bez szemrania zność i wytrzymać, iżbym się Tobie, Ojcu memu i Panu najlepszemu mógł podobać.

Nieraz przechodzili chwile, w których chwiała się ich nadzieja. Pocieszając mamusię i siostry Eda Kaźmierski w grypsie wyznaje:

Co prawda i na nas przychodzą chwile ciężkie, wątpienie chce nas ogarnąć, chce osłabić naszą wiarę i ufność. Wtedy westchnienie skierowane od naszego Wszechmogącego Ojca i uciezki grzeszników przynosi nie tylko natychmiastowy spokój, ale pomnaża naszą wiarę i ufność.

I dalej pisze:

Jakaż to siła ta nasza wiara! Są tacy ludzie tutaj, którzy w nic nie wierzą. Jakże dla nich straszna ta niewola. Słysząc tam tylko przekleństwa i złorzeczenia. A u tych, co mają wiarę - spokój, a zamiast przekleństw, szczerą radość. (...)

Czy dostanę jeden rok czy piętnaście, to wszystko jedno, bo do końca wojny tak będę siedział - ocenia Eda swoją sytuację. - Lepiej jednak, żeby do tej rozprawy wcale nie doszło. Zresztą Bóg wie, co jest najlepsze. To, co się stanie, to z Jego woli się stanie i tak będzie lepiej. On wie, czego nam potrzeba... I jesteśmy pewni, że Bóg chciał naszej niewoli, aby uleczyć nas z nałogów. O dzięki Jemu! Dziękując Jemu za wszystko, prosimy zarazem, by się wypełniła Jego wola i byśmy ją wypełnili dobrze.

W grypsie do ojca Franciszek Kęsy pisze:

Byłem na Fortach, na Młyńskiej, we Wronkach i jeszcze nie wiem, co mnie czeka, ale nigdy wiary i ufności nie straciłem, przeciwnie, nawet wzmożła się we mnie... Na każdym kroku widzę Boską Opatrzność.

W innym miejscu pisze, że

Życie jest jedną pełnią cierpień i trosk. Nie bylibyśmy w stanie ich znieść, gdyby nad nami nie było Boga, który jest Ojcem naszym najlepszym. On daje nam siły, abyśmy te przeciwności zwalczali i hartowali duszę swoją. Czasem zdaje się, że Bóg nas opuścił, o nie, On nas nie opuścił. On tylko doświadcza nas i próbuje.

Dowiedziawszy się o zmartwieniach siostry Irki, zagrożonej wywiezieniem od Niemiec, Franciszek Kęsy w grypsie z 10 maja 1942 roku prosi kochanego Boga, *aby na niego te wszystkie zmartwienia i przykrości przychodziły, aniżeli na nich.*

W chwilach trudnych, w dniach zwątpienia, szukali pomocy w Słowie Chrystusa, bo mieli kontakt z mszalikiem. Przepisywali z niego teksty na nadchodzące niedziele i wspólnie je odczytywali. Pokrzepieniem dla nich była głęboka treść modlitw w książeczce do nabożeństwa, przepisywanych nie tylko przez Edzia Klinika. Pogłębiali swoje życie wewnętrzne rozważaniami o *Naśladowaniu Chrystusa*. Można przypuszczać, że niejedną myśl z *Naśladowania* sobie wypisywali i nią się karmili.

O wspólnym pobycie w Neukölln opowiada także list innego z chłopców, więzionego tam wówczas podobnie jak chłopcy z Oratorium. List został odnaleziony przypadkowo już w

czasie przygotowania tej książki do druku. Od siostry autora, Stefana Kaźmierczaka, dotarł do siostry Edwarda Klinika, a ona przesłała z prośbą o wykorzystanie.

I tak z jednej jeszcze strony poznajemy więzienną celę oraz sytuację więźniów.

Był dzień 24 stycznia 1942 roku, gdy Stefan Kaźmierczak skończył list do swojej matki. Treść różni się niewiele od listów innych. Wiedzieli jedno i zapewne sporo o tym dyskutowali: nie wolno martwić najbliższych, narzekać na warunki więzienne, na swoją sytuację. Krytycznych uwag nie pozwoliłaby przekazać oczywiście więzienna cenzura, ale też nie chcieli chłopcy wprowadzać nastroju rozpaczony w rodzinnych domach, pełnych obaw o przyszłość aresztowanych synów i braci.

Jak mogli - tak pocieszali.

Przebywam ciągle w tym samym miejscu i w tym samym charakterze - pisze Kaźmierczak. - Przeszło półtora roku już jestem od Was tak daleko. Nie są to te czasy sprzed roku. Bo oto siedzę sobie w ciepłej izbie i zawzięcie kleję tytki. Wstaję o godz. 630, kładę się spać o 20-tej. Zawsze jeszcze znajduję kilka godzin na rysowanie, malowanie, czytanie i na różne miłe zajęcia...

Pojawiają się w liście także informacje o kolegach, z którymi Kaźmierczak przebywa.

Często z moim kochanym Edkiem rozmawiamy o Was, najmilszych. I tak czas po prostu pędzi jak strzała. Tydzień za tygodniem i już miesiąc minął. Och, żebym tu jak najdłużej mógł pozostać (...). Niech Mamusia zanieś ten list do p. Klinikowej (Mackenestr.1 -1) i podziękuj Jej w imieniu moim za Kochanego Edka, który będzie dla mnie największym przyjacielem w życiu. Niech mamusia zapozna się z p. Klinikową i tak jak my tu oba wspólnie żyje myślami...

Więźniowie mogli listy wysyłać raz na jakiś czas, prawdopodobnie raz na miesiąc, i to w ograniczonej formie, nawet w ilości stron. Stefan Kaźmierczak decyduje się jednak oddać „Kochanemu Edkowi” część miejsca w swoim liście i dzięki temu można było poznać jeszcze jeden dokument autorstwa Edwarda Klinika.

Z dopiskiem *Cześć Maryi, kierując list do Kochanych Rodziców i Brata* pisze Klinik:

Korzystając z dobroci mego Stefka, kreślę do Was, Kochani Rodzice, parę słów. Zamierzałem Wam napisać również obszerny list, lecz ponieważ jest to nadzwyczajna okazja, pragnienia moje spełzły na niczym. Toteż donoszę Wam tylko, że dzięki- Bogu jesteśmy wszyscy zdrowi i czujemy się świetnie. Bądźcie zawsze - pociesza autor najbliższych - tylko dobrej myśli, a wszystko będzie dobrze. Myślę, iż Mamusia zapozna się z Matulą mego Stefka, bo przecież między nami istnieje czysty związek braterski, Jego i moja radość i cierpienia są naszymi wspólnymi. Niestety, muszę już kończyć. Zostańcie z Bogiem.*

* Klinik zapewne nie otrzymał zgody na napisanie listu do rodziny i dlatego korzystał z uprzejmości Kaźmierczaka, dopisując się do jego listu.

WIELKIE SŁOWO: MATKA

Wszyscy chłopcy mieli dobre, chrześcijańskie matki, więc trudno się dziwić, że do swojej matki tak napisze Eda Kaźmierski:

Najpierw dziękuję Tobie, Mamusiu, za Twój kochany list. Od razu w celi zapanował świąteczny nastrój... Zaraz na usta ciśnie się dziękczynna modlitwa do Matuchny Najświętszej.

Odświeżają się w jego pamięci przykrości, jakie swoim postępowaniem sprawiał matce. Dodaje mu jednak otuchy to, że dzięki swojej dobroci na pewno nie pamięta o jego przewinieniach.

O, dzięki Tobie Matusiu! Gdy nie widzę przed sobą Twych łez, lepiej się modlić potrafię i proszę Stwórcę o przebaczenie oraz błogosławieństwo.

Mamy tylko matkę, więc staraj się, by Ona nie miała trosk ani cierpień - zwraca się do siostry. - Aby, gdy wrócę, mógł się jeszcze wiele lat nią nacieszyć i Jej się odwdzińczyć. Chciałbym być podporą jej starości (...).

Co by dali moi koledzy, gdyby takie matczyne listy odbierali... Z takich listów idzie ku nam siła do walki i przykład. Każdy list, Mamusiu kochana, uczy nas i pomaga nam krzyż swój dźwigać. Daje nam religijną, wielką nadzieję na przyszłość. Piszesz bowiem, że jak po Poście przychodzi Wielkanoc, a po burzy słońce, tak i po cierpieniu przyjdzie pociecha.

Jarogniew Wojciechowski z Berlina - Spandau pisze do siostry:

Smutno mi trochę, bo moi wszyscy przyjaciele są w innym więzieniu, w Neukölln, lecz dostałem od nich zapewnienie o pomocy modlitewnej w intencjach zdrowia naszej ukochanej Mamusi.

Drogą okrężną każe ich pozdrowić i również zapewnić o jego modlitwie i komunii duchowych za nich często przyjmowanych.

W Spandau - informuje - siedzi „na pojedynce”. Pracuje przy małych kopertach. Dziękując za opłatek, wspomina święta Bożego Narodzenia, podczas których sam śpiewał kolędy.

Wiadomo, że za to spotkała go kara stójki w wodzie po pas. Na pewno przyjął ją w takim duchu, jaki przejawia się w jego słowach z listu datowanego 11 maja 1942 roku.

Ile radości, kochana Liduś, sprawiło mi zapewnienie Twoje o zapomnieniu i przebaczeniu mi wszystkich uraz, żalu, bo tu odprawiam moje, może jedyne w moim życiu, rekolekcje, w których rozważam nie tylko minioną przeszłość, ale z zastanowieniem się nad życiem moim przyszłym ziemskim jak i poza grobem. Bo czy będę miał kiedy jeszcze taką okazję? Wątpię...

Kochał swoją matkę tak bardzo, że jego siostra Ludosława obawiała się donieść mu o jej śmierci, ale wreszcie o tym napisała.

Kochana Liduś, Twój ostatni list przyniósł mi tę bolesną wiadomość, że Bóg powołał do siebie naszą serdecznie ukochaną Mamusię - odpowiedział Jarogniew w liście z 14 czerwca 1942 roku. - Mimo że zostanie mi na zawsze ten świat z takim cieniem, jednak musimy żyć i Boga chwalić, bo to jest Jego wola, a żyć to nasz święty obowiązek. My, Liduś, rozpoczniemy nowe życie nie patrząc na cierpienie i smutek, a mając wciąż przed oczyma obraz naszej

Matki - bohaterki! oraz nasz obowiązek: modlić się do ostatniego tchnienia o spokój jej duszy. Nie rozpaczam. Krótko przed swym aresztowaniem byłem na to przygotowany, że już niedługo będziemy się cieszyć obecnością tej kochanej Istoty. A od początku stycznia br. odniosłem wrażenie, że przed kilkoma tygodniami coś z Mamusią się stało. Ale nie mogłbym tego opisać. Mimo że Twe listy zdawały mi się podejrzane, wierzyłem Ci jednak, bo nie wątpiłem, że coś ukrywasz. Rozumiesz, takie moje położenie musiało się skończyć. Były to dla nas obojga momenty ciężkiej próby...

Dziękuję Ci za taki list i odtąd nie chcę wiedzieć żadnych szczegółów aż do mego powrotu. Tylko podaj krótką wzmiankę, czy ojciec żyje?... Nasze nowe życie musi być pełne energii i wiary, a też z większą wzajemną ufnością. Wiemy, że z tych doświadczeń życiowych przyszła siła, która nam się przyda na przyszłość. Pomimo że przyszłość jest dla nas zagadką, jestem pewien, że będzie to życie po prostej drodze i rozumne. Musimy nim sami sterować. Dobrze przeżyjemy, jeżeli modlitwa będzie nam siłą...

WIELKANOC ZA MURAMI

W Neukölln chłopcy spędzili Wielkanoc jeszcze lepiej niż Gwiazdkę.

W pierwsze święto - przekazuje Eda Kaźmierski w grypsie z 8 maja 1942 roku - było nas dziesięciu. Przyszli do nas Edziu Klinik i jego towarzysz Jerzy, Czesiu także ze swym towarzyszem, Jantaszek i Stefan Kaźmierczak i inni. Brak było tylko Henia. Wachman mu nie pozwolił. Czesiu opowiadał swe przygody, a myśmy nie pozostali także dłużni. Na pogawędce zleciało nam pierwsze święto... Cela nasza była odświętnie wyczyszczona, okno, podłoga i ściany były już w piątek umyte. Wszystkie metalowe rzeczy wypolerowane, na płyty naklejony nowy, czysty papier. Ściana poza zwykłymi ozdobami otrzymała nowe w postaci Waszych kartek świątecznych. Szczególną uwagę zwracała kartka Anielki, ten samochód z jajkami. Po zamknięciu nas na rygiel, podziękowaliśmy Zmartwychwstałemu Chrystusowi za szczęśliwy dzień i pokładliśmy się spać.

Drugie święto spędziliśmy w szóstkę: Edziu, Stefan, Janek, Jerzy i my. Śpiewaliśmy pieśni wielkanocne, a potem nasze ludowe, narodowe. Byliśmy weseli. Między sobą nawet mówiliśmy:

„Och, gdyby nasze rodziny wiedziały, jak my to święto przeżywamy, to z pewnością uśmiech by zaigrał na ich twarzach. Bóg tak dobry, On nas nie opuści...”

Święta przeszły i pozostawiły po sobie miłe wrażenie. Proszę Was więc, nie martwcie się o nas. Nie wylewajcie niepotrzebnie łez i tak miódów nie macie. Te przydziały Wam się dość we znaki dają... Cieszę się bardzo, żeś, Matusiu, wzięła do siebie naszego dziadzię. Bóg Tobie wynagrodzi.

NAWET TAM UMIELI SIĘ ŚMIAĆ

Gdy czasem przyjdą na mnie chwile smutku, on wytrwale mnie pociesza tak, jak tylko on umie. W grypsie z 8 maja 1942 roku pisze Eda o Frąsiu.

Ja się mego humoru nie pozbyłem, jeszcze figle płatam - przeczytać można w zachowanym grypsie Frąsia, pisanym 10 maja 1942 roku. - Raz Jantaszkowi schowałem łyżkę i jedli razem ze Stefanem jedną... Była dolewka, więc jedli bardzo długo... Edziowi „Bebisiowi” [Klinikowi] poprzestawiałem raz meble i na pokrywie kibla napisałem: „Achtung Giftgas!” [Uwaga, gaz trujący!] i namalowałem trupię czaszkę. Sam Wachmann podobno śmiał się do rozpuku... Czy u Was są już również ładne dni? U nas piękne słońce świeci. Jaskółka właśnie świergoce: „Marcinie, na progu siedzicie, buty szyjecie, a wieczór nie wiecie, świdrum, krojz”.

Widok z okna ich celi prowadził na główną wejściową bramę do więzienia. Frąsiu z humorem charakteryzuje wchodzących tamtędy funkcjonariuszy.

Najpierw - pisze - idzie inspektor „karzelek”, mały, gruby, czerwony, jak mówią - dobry chłop. Drugi „Haupt”, wysoki, barczysty, marsowe oblicze, ostry nos, ale serce to ma tak dość miękkie. Nazywa się Matuschak, prawdopodobnie Ślązak, po polsku nie umie. Oberwachtmeister Bierwagen, „pelerynka”, „szpagat”, lubi się ładnie nosić, to taki wywijas, umie trochę po polsku. Oberwachmann Teischmann, „maruda”, „straszny dziadunio”. Oberwachmann Pillmann, „grubasek”, „luopo”. Wachmeister Ewert, „wylupiasty”, najgorszy ze wszystkich, Wachmann Becker, „pchelka”, Wachmann Schabos, „kot w butach”, Wachmann Ciepłiński, „czołg”, Wachmann Allamann, „sołtys”, „kaczynos”, ten już ma zimne nogi. Wszyscy są starzy z wyjątkiem Ewerta, może mieć 39 lat, prześladowuje Czesia.

Poczucia humoru nie brak było żadnemu z nich, także Edzie Kaźmierskiemu. W grypsie napisanym do Ulki 11 maja 1942 roku pyta:

Grasz dużo na mandolinie? Jak ja marzę, gdy wrócę, grać na akordeonie. Tutaj gram na policzku szczoteczką do zębów. Spróbuj i Ty. Może Tobie się to przyda. Musisz usiąść, otworzyć usta i sobie tak jak byś chciała jakąś piosenkę zagwizdać, i teraz będą Tobie wychodziły tony, gdy będziesz się uderzać czymkolwiek, np. jak my szczoteczką do zębów, tylko nie za mocno, żeby Cię nie bolało.

SERCE JAK KRYSZTAŁ



Podczas wspólnego pobytu w celi Henio Gabryel - jak twierdzi - miał możliwość poznać dobrze Czesia Józwiaka i chce w swoich wspomnieniach jego świetlanej postaci poświęcić kilka wierszy.

Wiedziałem, że Czesiu ma dobre serce - napisał - ale tutaj w więzieniu przekonałem się, że posiadał kryształowy charakter. Wierzę święcie, że on odszedł ze świata z sercem tak czystym, jakie posiadał po chrzcie świętym. Byliśmy względem siebie bardzo otwarci. Nie tailiśmy niczego. Każdy człowiek ma słabości i jest ułomny, ale gdy Czesiu odsłonił swe życie, przekonałem się, że było ono czyste i nie zmasała go najmniejsza plama nieczystości... Zasady, na których opierał swe postępowanie, brał z nauk głoszonych w Oratorium. W swoich zwierzeniach podkreślał wybitny wpływ na niego księdza dyrektora Augustyna Piechury.

Podczas swego pobytu we więzieniu zachował się mężnie. Starał się zawsze wszystkich pocieszać. Był wesoły i lubił żartować. Jeden jedyny raz widziałem u niego lzy. Otrzymał wtedy list z domu ze zdjęciem swojej rodziny. Gdy zobaczył wychudzonego ojca i zatroskaną twarz matki, zapłakał.

Co do swego losu nie łudził się wcale. Wiedział, co go czeka. W pierwszy dzień, gdy nas zaaresztowali, powiedział do mnie: „Heniu, ty jeszcze wrócisz, a ja nie”. Zresztą Czesiu nie bał się śmierci. Żał mu było tylko ginąć tak haniebnie pod gilotyną... Był on bardzo ambitny.

Podczas swojego pobytu we więzieniu wiele dobrego czynił drugim. Jeżeli komuś było zimno, dał mu własny pulower, a sam cierpiał. Kiedyś wyrwało mi się z ust mimo woli: „Kiedy my choć raz się do syta najemy? Kiedy ta nasza głodówka się skończy?” Podczas obiadu Czesiu podsuwa mi swą porcję, żebym zjadł, gdyż boli go żołądek. Uparł się i musiałem zjeść.

Gdy tylko znalazł odrobinę jedzenia, ze wszystkimi się dzielił. Przy tym był stale pogodny i wesoły. Potrafił drugich rozbawić. Czasem robił wrażenie, że jest gdzieś na wczasach, a nie w więzieniu. W Berlinie mieliśmy dużo styczności z kolegami, naszymi rówieśnikami, których poznaliśmy w więzieniu. Opowiadaliśmy im dużo o Oratorium i o księdzu Bosko.

„Że też z Wami wcześniej nie spotkaliśmy się” - mówili do nas. Niektórzy postanowili po powrocie na wolność powiększyć grono oratorianów.

Klinik, Kęsy, Kaźmierski zdobyli na swym oddziale niemało przyjaciół. Niejedni pisali w listach do swych rodzin:

Jacy to szlachetni chłopcy! Dużo od nich nauczyliśmy się dobrego. Szkoda, że nie znaleźmy ich przed wojną...

Czas pobytu w Berlinie uważaliśmy za akt szczególnego miłosierdzia Bożego nad nami - wspomina Henryk Gabryel. - Przebywaliśmy we wspólnych celach, mogliśmy korzystać z biblioteki, abonowaliśmy gazety. Dostawialiśmy jako zajęcie przebieranie grochu. Wtedy wieczorem moczyliśmy go w wodzie i rano, chociaż surowy, ale już miękki, można było jeść. Stu dwudziestu ludzi potrafiło w jednym miesiącu skosztować dwadzieścia cetnarów grochu. Taki brak okazał się przy rozliczeniu. Kleiliśmy też torebki. Wówczas wcinaliśmy klej. W zupie smakował jako tako. Na wiosnę przywieziono do przebierania cebulę. Zajadaliśmy się nią jak smacznymi jabłkami. W ustach piekło, ale za to głód zaspokojony.

ZAPRZĘGANO ICH NAWET DO WOZÓW

W maju 1942 roku przetransportowano ich do ciężkiego więzienia w Zwickau. Mieszkali w dużych celach po osiemdziesięciu ludzi i chodził pracować do miasta. Praca była ciężka; męczyli się przez cały dzień bez względu na pogodę. Bywało, że zaprzęgano ich do wozów, używając jako siły pociągowej. Po pracy i po posiłku szli do wspólnych cel.

Nasza „Piątka” z Heniem zdobyła miejsce koło siebie, mogli więc pocieszać się wzajemnie oraz polecać sobie, współwięźniów i rodziny Wszechmogącemu Ojcu i Najświętszej Wspomożycielce.

Dzięki Bogu - pisze Henio we wspomnieniach - nie zwątpiliśmy nigdy, chociaż było bardzo ciężko. W ogóle nasi chłopcy byli jacyś inni! Na ich twarzach zawsze pogoda. Z ich ust nie wychodziły słowa skargi. Drudzy nieraz się dziwili, mówiąc: „Zdaje się, że wam dobrze w więzieniu”.

Był między nami ksiądz z Poznania. Pierwsza okazja, więc wszyscy skorzystali z Sakramentu Pokuty. Co niedzielę ksiądz - więzień czytał Ewangelię i wygłaszał w sypialni kazanie.*

Pobyt w Zwickau to najgorszy okres dotychczasowej niewoli. Pracą i głodem zabijali. Pomagaliśmy sobie jak tylko było można. Czesiu Józwiak pracował jakiś czas na dworcu przy myciu sanitarnych wagonów. Przynosił i dzielił się skórkami chleba lub czymś innym, co potrafił zdobyć. Kaźmierski miał okazję zebrania lupin ziemniaczanych. Chociaż trudno przechodziły przez gardło, innego wyboru nie było.

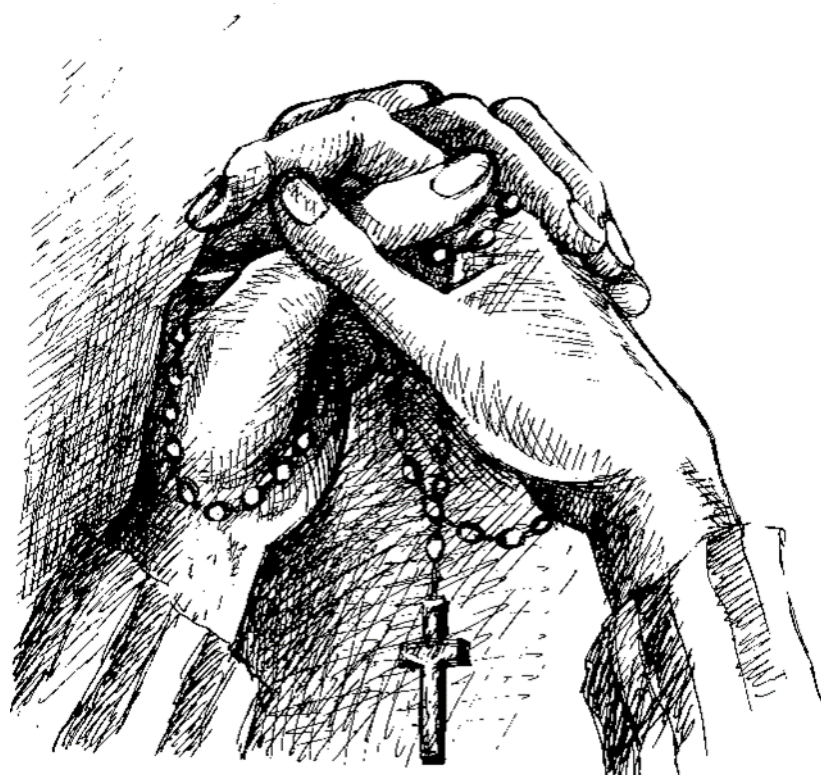
W połowie czerwca Henryk Gabryel otrzymał wyrok zaoczny; skazano go na rok więzienia z zaliczeniem śledztwa. 3 lipca 1942 roku, po dwudziestu dwóch miesiącach niewoli wyszedł na wolność. I jemu, jako naocznemu świadkowi, zawdzięczamy cenne relacje.

Dla pięciu jego kolegów przygotowano akt oskarżenia, rozprawę wyznaczono na dzień pierwszego sierpnia 1942 roku.

Wszystkich skazano na karę śmierci.

* Autor relacji ma na myśli księdza Henryka Kubika, benedyktyna urodzonego 4 stycznia 1909 roku w miejscowości Babimost. W Lubiniu (Poznańskie) znano go jako Ojca Oleandra.

JAKŻE WIELKIEJ TRZEBA WIARY



Jest 24 sierpnia 1942 roku. W więzieniu w Dreźnie pięciu młodych Polaków z poznańskiego Oratorium oczekuje na wykonanie wyroku...

Siedzą razem w jednej celi i wspominają swoich najbliższych, od których otrzymali listy pożegnalne. Uczucia nie do opisania ogarniają każdego z nich. Prawdziwy pokój w ich dusze wprowadza sam Chrystus. Jeszcze raz proszą Go o przebaczenie w Sakramencie Pokuty i po raz ostatni przyjmują Go pod eucharystycznymi postaciami. To samo, co poeta-staruszek Claudel, mówili oni światu najpierw swoim młodzieńczym przedsięwzięciem, potem konsekwencjami, a więc cierpieniem w Fortach, przy ul. Młyńskiej, we Wronkach, w Berlinie.

Nie znali wówczas, bo znać nie mogli, ankiety przez francuskiego pisarza, Piotra Lhoste, skierowanej do wybitnych osób.

Pozostaje Ci kwadrans życia - pytał pisarz. - Jakie swoje myśli chciałbyś przekazać najbliższym?

Nie znali też odpowiedzi, na te dwa pytania udzielonej przez katolickiego poetę Paula Claudela.

Mam lat osiemdziesiąt trzy - napisał Claudel. - Widziałem trzy wojny, które w świat rzuciły ogień i żelazo, wstrząsnęły ideologiami. Mieliliśmy prawo do rozpaczki wobec widowiska, które daje rozbita Europa, pozbawiona treści... Lecz nadzieja trwa. Bóg stworzył odmienne narody, nie żeby się mordowały, lecz by się nawzajem uzupełniały, a w łonie każdego narodu stworzył ludzi, różnych między sobą, by sobie przewodzili i mogli się wzajemnie uzupełniać. Nie ma nikogo tak biednego, by nie mógł dobrze czynić drugim. Nie można rządzić ludźmi przy pomocy niewolnictwa. Dlatego ja; starzec stojący na progu wieczności i świata, który gotów jestem opuścić, wołam do wszystkich: nie lękajcie się. - Jest Bóg! Bóg Najmocniejszy!!! Do obrony przed mocami ciemności macie nie tylko naukowe i naturalne środki, lecz i nadprzyrodzone.

O tym samym, co czuł staruszek-poeta napiszą w listach do najbliższych chłopcy z Poznania. Napiszą o Bogu, o tym, że z silną wiarą w sercu idą spokojnie do wieczności. Żaden z chłopców nie boi się tego, co ma nastąpić. Jakże wielkiej trzeba wiary, aby na mającą wkrótce nastąpić śmierć tak pogodnie spoglądać.

Jak wielkiej trzeba odwagi, by mając - jak oni 20, 22, 23 lata pisać: *nie żałuję, że w tak młodym wieku schodzę z tego świata...*

LISTY SPOD GILOTYNY

Najukochańsi Rodzice! Mamusiu, Tato, Marysiu, Heńku!

Dziwne są wyroki Boże, lecz musimy się z nimi zawsze pogodzić, gdyż wszystko jest dla dobra naszej duszy. Moi kochani! Dziwna jest wola Jezusa, że zabiera mnie już do siebie, lecz jakże szczęśliwa będzie dla mnie ta chwila, w której będę miał opuścić tę ziemię. Jakże mogę się nie cieszyć, że odchodzę do Pana i mojej Matuchny Najświętszej, zaopatrzony Ciałem Jezusa. Do ostatniej chwili Maryja była mi Matką. Teraz, kiedy Ty, Matusiu, nie będziesz mnie miała, weź Jezusa. Matko, oto syn Twój.

Kochana Mamusiu, dziękuję Tobie za ostatnie błogosławieństwo i modlitwy. Pocztówkę otrzymałem. Moi Kochani, nie rozpaczajcie nade mną i nie płaczcie, gdyż ja jestem już z Jezusem i Maryją. Do ostatniej chwili z moją silną wiarą w sercu idę spokojnie do wieczności, gdyż nie wiadomo, co by mnie tutaj na ziemi czekało. Was proszę, moi Kochani, o modlitwę za moją grzeszną duszę, proszę Was o przebaczenie mych grzechów mło-dości.

Ściskam Was i całuję z całego serca i całej duszy. Wasz zawsze kochający syn i brat Edzio. Do zobaczenia się w niebie z Matuchną, Jezusem i św. Janem Bosko.

Ja zrozumiałem moje życie dokładnie, poznałem powołanie życiowe i cieszę się, że w niebie się odwdzięczę. Wasz Edziu. Wszystkich ściskam i całuje Edzio. [Klinik]

Moi Najdrożsi Rodzice, Janko, Bracia!

Właśnie dzisiaj tj. w dzień Matki Boskiej Wspomożycielki dostałem Wasze listy. Przychodzi mi się rozstać z tym światem. Powiadam Wam, Moi Drodzy, że z taką radością schodzę z tego świata, więcej się cieszę z tego, aniżeli miałbym być ulaskawiony. Wiem, że Maryja Wspomożycielka Wiernych, którą całe życie czcilem, wyjedna mi przebaczenie u Jezusa.

Przed chwilą się wyspowiadałem i zaraz przyjmę Komunię św. do swego serca. Ksiądz będzie mi błogosławił przy egzekucji. Poza tym mamy tę wielką radość, że przed śmiercią możemy się wszyscy widzieć. Wszyscy koledzy jesteśmy razem w jednej celi.

Jest godz. 7⁴⁵ w wieczór. O godz. 8³⁰ tj. wpół do dziewiątej zejdem z tego świata. Proszę Was tylko nie płaczcie, nie rozpaczajcie, nie przejmujcie się. Bóg tak chciał. Szczególnie zwracam się do ciebie, Mamusiu Kochana, ofiaruj swój ból Matce Boskiej Bolesnej, a Ona ukoji Twe zbolale serce.

Proszę Was bardzo, jeżeli czym obraziłem - odpuśćcie mi to. Wasze listy pocieszyły mnie tak bardzo. Zmówcie pacierz za spokój mej duszy. Ja będę się modlił za Was u Boga o błogosławieństwo i o to, abyśmy się wszyscy kiedyś razem mogli zobaczyć w niebie.

Tutaj składam pocałunek dla każdego z was.

Do zobaczenia w niebie.

Wasz syn i brat Czesław. [Józwiak].

Moja Najukochańsza Matusiu i Najmilsze Siostry!

Pożegnalny Wasz list odebrałem, za który Wam serdecznie dziękuję i który bardzo mnie ucieszył, że pogodziliście się z Wolą Bożą.

O, dzięki Najłaskawszemu Zbawcy, że nas wysłuchał, że nie wziął nas nieprzygotowanych z tego świata, lecz po pokucie zaopatrzonych Ciałem Jezusa w dzień Maryi Wspomożenia Wiernych. Dziękujcie Bogu za Jego niepojęte miłosierdzie. Dał mi pokój. Pogodzony z Jego Przenajświętszą Wolą schodzę za chwilę z tego świata. Wszak On tak dobry, przebaczy nam. Dziękuję Tobie, Matusiu, za błogosławieństwo.

Bóg tak chce, żąda od Ciebie tej ofiary. Złóż ją, Matusiu, za mą grzeszną duszę. Przepraszam wszystkich, którym zawiniłem i proszę pokornie o przebaczenie. Proszę o modlitwę. Całuję Cię, moja Najukochańsza Matusiu, Helciu, Kaziu, Anielko i Bożenko. Do zobaczenia w niebie.

Błagam Was tylko, nie płaczcie, bo każdy Wasz płacz nic mi nie pomoże, raczej módlcie się do Boga o spokój mej duszy. Kochany Stasiu! Przebacz wszystko. Dziękuję za wszystko. Niech Tobie Bóg błogosławi i nagrodzi w opiece i pocieszeniu mej Matusi drogiej.

Żegnamy wszystkich krewnych, znajomych, kolegów. Do zobaczenia w niebie i proszę o modlitwę. Bóg tak chciał. Niech Was wszystkich ma w swej opiece Dobry Bóg, Matka Jego Najświętsza, św. Józef, św. Jan Bosko.

Wasz kochający syn i brat Edek. [Kaźmierski]

Zostańcie z Bogiem.

Moi Najukochańsi Rodzice i Rodzeństwo.

Nadeszła chwila pożegnania się z Wami i to właśnie w dniu 24 sierpnia, w dniu Maryi W. W. Och, jaka to radość dla mnie, że już odchodzę z tego świata i tak, jak powinien umierać każdy. Byłem właśnie przed chwilą u Spowiedzi św., za chwilę zostanie posilony Najśw. Sakramentem. Bóg dobry bierze mnie do siebie.

Nie żałuję, że w tak młodym wieku schodzę z tego świata. Teraz jestem w stanie łaski, a nie wiem, czy później byłbym wierny moim przyrzeczeniom... Kochani Rodzice i Rodzeństwo, bardzo Was przepraszam raz jeszcze z całego serca za wszystko zło i żałuję za wszystko, przebaczcie mi. Idę do nieba, do zobaczenia. Tam w niebie będę prosił Boga... Właśnie przyjąłem Najświętszy Sakrament.

Módlcie się czasem za mnie. Zostańcie z Bogiem.

Wasz syn Franek [Kęsy]

Już idę.

Bardzo przepraszam za wszystko.

24.VIII.1942

Najdroższa Liduś! Z całego serca dziękuję Wam, tj. Liduś Tobie, Heniowi i Irce i wszystkim tym, którzy o mnie raczyli pamiętać w chwilach życia. Poznałem i przejrzałem dokładnie życie Matusi, Ojca, Twoje i swoje i dlatego jestem pewny, że będziesz raczej ze mną się cieszyć, a nie rozpaczać, bo dostępuję Nadzwyczajnej łaski Bożej i odchodzę, poznawszy gruntownie moją przeszłość, bez najmniejszego żalu.

Świat, życie i ludzi również poznałem i dlatego dzisiaj, Kochana, najmilsza Liduś, bądź pewna, że Ty sama na tej ziemi nie zostajesz. Ja i Mamusia jesteśmy zawsze przy Tobie. O jedno Cię proszę, uczucia w każdej chwili Twego życia powierzaj tylko Jezusowi i Maryi, bo u nich znajdziesz ukojenie. Ludzi nie przeceniaj zbyt w dobrym ani w złym. Pomyśl, jakie prawdziwe szczęście! Odchodzę zjednoczony z Jezusem przez Komunię św. W tej ostatniej mojej Komunii św. myślę o Tobie i ofiaruję ją za Ciebie i za siebie z tą nadzieją, że cała nasza rodzina bez wyjątku będzie szczęśliwa tam u Góry.

Proszę Cię, proś Ojca naszego o przebaczenie wszystkiego, co uczyniłem złego z tym zapewnieniem, że zawsze go kochałem. W ostatniej chwili przebaczenia i modlitwy jestem z Tobą stale. Idę już i oczekuję Cię tam w Niebie z Matusią najmilszą. Trudno, nie mogę więcej pisać.

Módlcie się wszyscy za mnie, a ja odwdziczę się Wam wszystkim tam u Góry. Jezus, Maryja, Józef. Zawsze kochający Cię brat Jarosz.

Dla wszystkich pozdrowienia i uściski.

[Wojciechowski].

Następnego dnia po śmierci chłopców ukazały się w Poznaniu czerwone afisze informujące, że:

Przez Sąd Nadzwyczajny w Poznaniu (der Strafsenat des Oberlandesgerichts) dnia 31 lipca 1942 r.

Bogdan Wysocki

Czesław Józwiak

Hieronim Jendrusiak

Marian Kliszka

Edward Klinik

Franciszek Kęsy

Jarogniew Wojciechowski

Edward Stanisław Kaźmierski

z powodu przygotowań do zdrady stanu zostali skazani na śmierć. Wyroki zostały dnia 24 sierpnia 1942 r. wykonane.

W miesiąc później Urząd Stanu Cywilnego w Dreźnie przesłał akty zgonu rodzinom zgilotynowanych oratorianów. Ludosława Wojciechowska między innymi czytała w akcie zgonu swego brata Jarogniewa:

Zmarł w Dreźnie, Münchner Platz 3, 24 sierpnia 1942 r. o godz. 20 minut 40.

W Dreźnie - warto tu przypomnieć - tracono ludzi z wielu krajów: Austrii, Belgii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, Niemiec, Polski, Rosji i Węgier. Kładli oni głowę pod gilotynę w obronie zagrożonej ludzkości, w obronie elementarnych praw człowieka.

BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY UMIERAJĄ W BOGU

Śmierć oratorianów z Poznania, których trudno nie nazwać „bohaterską Piątką”, wprawdzie położyła kres ich życiu w doczesności, ale położyła kres w ten sposób, że ich los utrwaliła. Śmierć po skłóceniu się człowieka z Bogiem, jako prawo natury, jest czymś twardym, odstrasającym, ale zarazem majestatycznym. Jest może najwyraźniejszym objawieniem wszechmocy Bożej, którą On nami rządzi.

Oto jest, co życie daje i takowe odbiera, co wtrąca w duchowe ciemności i wyprowadza w światło.

Śmierć najmocniej woła do uszu ludzkich: *Jam jest Pan, Bóg Twój!* W duchu prawdziwie chrześcijańskim kształtowana „Piątka” patrzyła na śmierć jako na skutek nieposłuszeństwa woli Bożej, jako na zasłużoną karę, jako żołd - zapłatę grzechu, jak to wyraził św. Paweł, Apostoł narodów. Z drugiej strony, wiek dojrzewania spędzali w atmosferze ducha św. Jana Bosko, który wbrew przeciwnej opinii niektórych współczesnych mu pedagogów, co miesiąc polecał młodzieży prowadzić tzw. ćwiczenie dobrej śmierci.

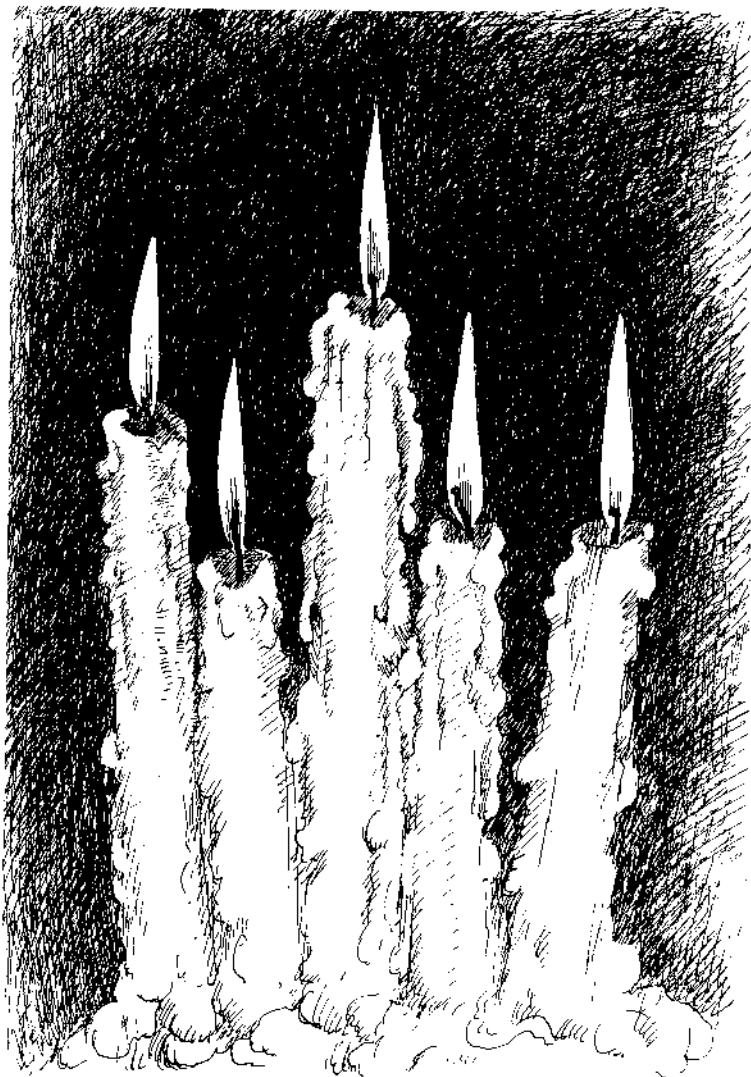
O tym pamiętali: ich niezapomniany dyrektor, ksiądz Augustyn Piechura, potem ksiądz dyrektor Emanuel Słodczyk. O tym pamiętali ich spowiednicy, salezjanie: ksiądz Zygmunt Kuzak, ksiądz Walenty Dębski oraz ksiądz Andrzej Świda.

Chłopcy zaczęli rozumieć, że śmierć może być czymś świętym. Bo co to jest grzech? Nic innego, jak odwrócenie się człowieka w okropnej swojej niewdzięczności, w nikczemnym swoim buncie, w perfidnej swojej zdradzie od woli Bożej, przecenianie rzeczy i spraw przemijających.

A co to jest śmierć?

Śmierć jest odwróceniem się od doczesności i z konieczności zwróceniem się do Boga, do wieczności. Jeżeli człowiek to przeżyje świadomie, w zjednoczeniu u Wolą Najwyższą^ to śmierć staje się tym, czym była dla bohaterskiej „Piątki”: najpiękniejszą ofiarą, najdoskonalszą modlitwą, najlepszym aktem wierności i miłości, najgorętszym uwielbieniem Boga.

ODESZLI, ALE ŻYJĄ I MÓWIĄ...



Albinowi Wietrzykowskiemu po bitwie pod Sochaczewem opowiadał jeden z żołnierzy niemieckich:

Rozbiliśmy zupełnie baterie. Na polu walki pozostali ranni. Jeden, któremu granat urwał dwie nogi, w drżących od bólu rękach trzymał różaniec i głośno się modlił. Kiedy towarzysz mój, chcąc ukrócić jego męki, wyjął rewolwer, ów Polak, jakby przeczuł, odwrócił spokojnie głowę i powiedział: „Strzelaj! Ten, co broni Ojczyzny, nie boi się śmierci. Niech się boi ten, co napada i morduje... Jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie. Bóg będzie i waszym sędzią”.

I dalej odmawiał różaniec. Coś nas przeszło. Odeszliśmy w milczeniu.

Wróg - jak widać - nie bał się niczego, ale zląkł się modlitwy na spokojnych ustach umierającego Polaka i tych proroczych słów.

Zwyciężyć można ciało, mocnego ducha nie zmoże nawet gilotyna ani wyszukane tortury. Tyle na to dowodów mamy w dziejach Kościoła, w historii Ojczyzny, w postawach Polaków. Nasi skazańcy, przez hitlerowskich sędziów uznani za przestępców, odeszli z wiarą w Boga i Ojczyznę. Wiedzieli, za co giną i dokąd idą. Szli na drugą stronę życia z otuchą, z niezachwianą wiarą w odwieczną Sprawiedliwość, z Jezusem, Maryją Wspomożycielką i św. Janem Bosko na ustach.

Poszli bez łez, bez jęku...

Odeszli, ale żyją i mówią. Mówią szeptem modlitwy z książeczki więziennej:

Nakłoń mnie, Boże Wszechmogący, do naśladowania Twych świętych, co w prześladowaniu, ubóstwie, w największych boleściach, przez miłość do Ciebie, dochowali wiernie chrześcijańskiej cierpliwości. Tobie się poruczam i oddaję, Boże mój. Dla Ciebie chcę wszystko bez szemrania znosić i wytrzymać, iżbym się Tobie, Ojcu memu i Panu najlepszemu mógł podobać.

Byli wierni aż do śmierci, więc - spodziewamy się - otrzymali wieniec życia (Ap 2, 10 c).

POSŁOWIE

W wydanym w listopadzie 1989 roku „Biuletynie Salezjańskim - Nostra” znaleźć można sprawozdanie Jana Ptaszkowskiego BWS z uroczystości 80-lecia autora tej książki księdza Leona Musielaka. Jest w sprawozdaniu kilkanaście słów układających się w myśl przewodnią do książek księdza Leona, jego życia i wszelkich dokonań.

Tacy apostołowie prawdy jak ksiądz Leon Musielak torowali drogę wolności, która nadchodzi - ocenia, jakże słusznie, Jan Ptaszkowski.

Nie znał on wówczas książki o pięciu chłopcach z poznańskiego Oratorium, nie wiedział o tym wspaniałym pomysłe, o wielkiej idei, o zamierzeniu bez precedensu, bo trudno inaczej nazwać włączenie wspomnianej PIĄTKI do grona osób, które w niedalekiej już przyszłości mogą być beatyfikowane

Pisząc o „nadchodzącej wolności” Ptaszkowski nie myślał tylko o Polsce - kraju bez cenzury, bez uwiezionych za przekonania, kraju bez policji, wężącej wszędzie spiskowców, ale raczej wyobrażał sobie „wielki oddech”, z którego - nawet w trudnej sytuacji ekonomicznej - skorzystać będą chcieli ludzie wrażliwsi od innych, pełni nieskrępowanej pasji, swój czas i wiedzę poświęcający ideałom i zadaniom - zdawać by się mogło - niewykonalnym. Jedni z takiego oddechu zechcą skorzystać, inni nie będą mieli ochoty, a może tylko - odwagi?

Tej pomysłowości i odwagi nigdy nie brakowało księdzu Leonowi Musielakowi. Nie pokonały Go sowieckie łagry i więzienia PRL-u, nie zmogły szykany komunistycznych „służalców Kremla” - bo tak ich nazywał, nie zważając na to, kto słucha kazania czy wypowiedzi i jakie mogą być skutki krytyki. Jakże więc nie znalazłby On miejsca dla siebie w tym wielkim „oddechu wolności”?

Obserwuję tę niezwykłą pomysłowość, bywając czasem go-ściem księdza Leona w Szczyrku. Nie tylko ja, bowiem każdy, kto pozna tego wspaniałego Salezjanina, długo nie potrafi o Nim zapomnieć. Pozostał w pamięci Aleksandry Kwiatkowskiej-Viatteau, która wraz z ekipą telewizyjną z Paryża przygotowywała w Polsce w 1991 roku film o kulisach zbrodni katyńskiej i włączyła - pomiędzy inne relacje - wypowiedź księdza Leona Musielaka. Wyświetlany w Paryżu, w czasie wystawy Katyń 1940 film pani Aleksandry zrobił na zwiedzających wielkie wrażenie. Podobnego zdania są widzowie filmów *Za łaskę Kozielska, za łaskę więzień...* oraz *Nie wierzyłem, że tu wrócę*, przygotowanych przez Jerzego Kołodziejczyka, Mieczysława Chudzika i Aleksandra Dyla. Bo jakże nie zapamiętać słów księdza Leona:

Chętnie szedłem, gdy mnie wzywali - powie o prześladowcach z urzędów bezpieczeństwa czy tzw. wydziałów do spraw wyznań - bo mogłem powiedzieć im prawdę, a to mnie mobilizowało...

Jestem pewien, że także i tę odwagę doceniono w roku 1993, przyznając księdzu Leonowi wysoko na Śląsku notowaną nagrodę Juliusza Ligonia z uzasadnieniem, że jest to wyróżnienie *Jego całokształtu pracy duszpasterskiej, wychowawczej, społeczno - patriotycznej i publicystycznej.*

Zgodni w tej ocenie są też wychowankowie księdza Leona Musielaka. Jednym z nich jest profesor Kazimierz Liman, obecnie kierujący Zakładem Łaciny Średniowiecznej i Nowożytnej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a przed wojną wraz z

młodszym bratem Stefanem uczęszczający do salezjańskiego Oratorium przy ulicy Wronieckiej.

Jesteśmy pewni - powiedział on podczas uroczystości 50. święceń kapłańskich księdza Leona Musielaka w listopadzie 1993 roku - *że każdego ranka, niezmiennie, tak jak dawniej, trwa Twój dialog z Opatrznością. Znana nam dobrze modlitwa „przystąpię do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela młodość moją”, ma dziś w Twych ustach inną niż dawniej tonację, bo jeszcze pełniej, „corde plenissimo” głębią serca ją odmawiasz. Obecnie ten Twój dialog znaczony jest na pewno jeszcze doskonalszą miłością do Dobra Absolutnego. Ta codzienna rozmowa z Bogiem wypełniona jest zapewne słowami wdzięczności i podziękowań za dar życia, za szlachetnych Rodziców, za Rodzeństwo wyjątkowo liczne, za Krzyżanowo, skąd jako młodzieniec pełen miłości do Boga i ludzi wyprawileś się w świat, do szkół, aby odtąd, jako członek salezjańskiej społeczności, czynnie uczestniczyć w naprawie świata.*

Modlisz się niezmiennie - przypomina dalej prof. Kazimierz Liman - *za łaskę kapłaństwa i wytrwania w dobrem, za uratowanie z opresji - życia, za swych konfratrów. Stale też pojawia się modlitwa za Twych zmarłych i żyjących licznych wychowanków, a szczególnie za „Bohaterską Piątkę”, aby korona męczeństwa pozwoliła ich czcić w Kościele powszechnym...*

Jest takie przysłowie łacińskie *Elucetissimum est edocendi genus exemplorum subditio*, co tłumaczyć trzeba, że „najbardziej rzucającym w oczy sposobem nauczania jest podawanie przykładów”. Wiem od księdza Leona i ośmielam się zdradzić tę tajemnicę, że podczas studiów nie zawsze zbierał najwyższe oceny i nie do wszystkich zajęć był dobrze przygotowany. Po prostu brakowało mu czasu, bo gdy inni - jak to się zwykło mówić „kuli wiedzę” - kleryk Musielak w księgach szukał przykładów, notował skrzętnie, aby w przyszłości włączyć je do swoich kazań i pracy wychowawczej...

Czyż więc dziwić się, że tę Jego umiejętność dostrzegli wychowankowie, a w cytowanym już jubileuszowym przemówieniu profesor Kazimierz Liman ocenił, że ksiądz Musielak *nie potrzebuje w swej księdze życia niczego wymazywać, aby włączyć do rejestru swych dokonań bardziej wystylizowaną redakcję.*

Wspominając innych swych wychowawców, z całą odpowiedzialnością wychowankowie wyróżniają wśród nich księdza Leona.

Indywidualność - jak powiedzą - *przenikająca salezjańską społeczność swoją radością życia i energią.*

Myślimy o Tobie z wdzięcznością - a mówimy - z dumą - podkreślają. Daj Boże, aby każdy z nauczycieli tak zostawał w pamięci uczniów.

Najlepszym sposobem jest podawanie przykładów...

Ksiądz Leon Musielak całe swoje życie poświęcił na ucłowieczenie tej łacińskiej sentencji. Dzisiaj, gdy Jego skroń przy-prószyła już siwizna tę - dla niego oczywistą prawdę - przekazuje innym. Tym właśnie przekazem jest książka o PIĄTCE chłopców z salezjańskiego Oratorium w Poznaniu, z których - jak przeczytać można we wstępie - żaden nie urodził się bohaterem, a przecież trudno o lepszy przykład, jak być wiernym Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie.

Łacińskie przysłowie mówi też, że *Memoria bene redditae vitae sempiterna*, co tłumaczy się „Pamięć o chlubnie zakończonym życiu jest wieczna”. Eda Kaźmierski i jego czterej koledzy nigdy zapewne nie spodziewali się, że ich ofiara zamieniona zostanie w wieczną pamięć. Przekonany jestem natomiast co do intencji księdza Leona, autora tej skromnej, a tak mądrej książki, którą chciał i udowodnił cytowane wcześniej przysłowia starożytnych. A także i do tego, że gilotyna w Dreźnie wcale nie przerwała tych wartości, które nieśli chłopcy z poznańskiej PIĄTKI. Dyspozycyjni wobec nazistowskiego reżimu, ferujący wyrok niemieccy sędziowie zapomnieli o prawdzie ukrytej w starożytnych przysłowiach, o których my dzisiaj, kończąc lekturę książki księdza Leona Musielaka, chce-my i powinniśmy pamiętać.

Będzie to - jak sądzę - wielki sukces tej pracy i jej autora.

Stanisław M. Jankowski